**Nr 41** (1603). Warszawa, 14 października 1911 r. **Rok XXXI**

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

**Szanownym abonentom przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał IV.**

## POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Drożyzna.

Uważny badacz życia społecznego mógł z góry przewidzieć, że gdy w Europie uderzono na trwogę z powodu drożyzny i wywołano nawet zaburzenia, dzwon trwogi ozwie się i u nas a hasło „drożyzna" stanie się znakiem naszego życia powszedniego. Skąd jednak wzięła się sama drożyzna, a raczej jej nagły wzrost, gdyż właściwie istnieje ona i powoli wzrasta już od wielu lat?

Analiza tego zjawiska wymaga rozważenia kilku głównych czynników. Przedewszystkim drożyzna, jako zjawisko stałe, jest wynikiem urządzeń bytu, opartych na podstawach tak zwanego ustroju kapitalistycznego. Wytępienie więc drożyzny, t. j. udostępnienie wszystkich najniezbędniejszych produktów wymaga środków, sięgających do głębi ustroju, a więc zasadniczych reform ustroju społecznego. Z tego ustroju właśnie wynika jeszcze i to, że drożyzna jest pojęciem względnym. Np. dla proletarjusza jest wszystko drogie, co dla jego kieszeni jest niedostępne, a nawet niektóre najważniejsze artykuły żywności, jak mięso lub cukier, stają się przedmiotami zbytku.

Obok wszakże tych zasadniczych przyczyn drożyzny, mamy jeszcze inne, — produkt pasorzytnictwa ekonomicznego — pośrednictwo i spekulację. To właśnie w naszych warunkach i w chwili obecnej są bacylle chorobotwórcze, wywołujące gorączkę drożyźnianą. Nieprzyjazne warunki atmosferyczne i ich wynik — niepomyślny urodzaj, dalej — powikłania polityczne, wywołujące pewne wstrząśnienia na rynkach światowych — wszystko to jest bodźcem i pretekstem do wyśrubowywania cen niepomiernie wysokiego.

Dotkliwy brak szerokich przywilejów gospodarczych, pozwalających korzystać z pełni praw obywatelskich wszystkim mieszkańcom kraju, brak ustroju samorządnego w szerokich granicach, skrępowanie racjonalniejszych form bytu gospodarczego, niezmierne trudności natury formalnej przy organizowaniu życia ekonomicznego, wreszcie nasze wyjątkowe pod każdym względem warunki bytu wytworzyły to, że olbrzymia większość ludności w życiu gospodarczym jest całkiem bierna, gdy natomiast stosunkowo niewielkie rzesze są czynne i korzystają w całej pełni z tej bierności. Taki stan rzeczy wytworzył w wysokim stopniu spekulację i pośrednictwo — grupy pasorzytów, żyjących kosztem drzemiącego, biernego organizmu mas niezaradnych, oplątanych i uzależnionych przez grupy pośredników.

Zanim u nas zaczęła kiełkować idea współdzielczości, zanim zdobyliśmy możność jakiegoś takiego organizowania się ekonomicznego, zakładania towarzystw rolniczych, mleczarskich spółek włościańskich, kółek rolniczych i t. d. spekulanci i pośrednicy byli już silnie zorganizowani i zdołali dopuszczać się wyzysku nad ludnością. Garść handlarzy bydła uzależniła od swoich machinacji pierwszorzędne rynki zbytu, jak Warszawa i Łódź. Regulują oni dostawę bydła w ten sposób, ażeby nigdy nie było zbyt wielkiej podaży, obniżającej ceny, teroryzują i uzależniają handlarzy, stojących poza ich syndykatem, słowem bezkarnie szerzą rozbój na wielką skalę, a ludność jest bezsilna, bo tej sile zsolidaryzowanej i zorganizowanej nie może przeciwstawić siły gospodarczej. Biurokra-

tyczne zarządy miast, nie posiadających ustroju samorządnego, nie mogą walczyć z tymi bandami dostawców pośredników. Warszawa dotąd jeszcze nie posiada rzeźni centralnej, gdyż sprawa ta od trzydziestu lat wędruje po labiryncie biurokratycznym. Takie same wprost zabójcze anomalje widzimy także w innych dziedzinach gospodarki. To też stan rynków naszych całkowicie jest zależny od spekulantów—pośredników. Oni tworzą konjunktury, ustanawiają ceny i t. d. Najbardziej od nich są zależni wytwórcy wiejscy — żywiciele ludności miejskiej. Są oni wprost w wieczystej niewoli u pośredników. Kupcy zbożowi nie dopuszczają rolnika, czy to drobnego, czy większego, do rynków pierwszorzędnych, kupują zboże zielone, wyzyskują najcięższe chwile, w których przychodzą jako dobrodzieje, udzielając zaliczek na wysoki procent, kupują zboże po cenach najniższych po to, ażeby następnie regulować dopływ tego produktu na rynki i sprzedawać go w chwilach takich, w których można najwyższe ceny osiągnąć kosztem szerokich mas spożywców. Włościanie i wogóle drobni rolnicy i hodowcy są otoczeni kordonem skupywaczy, którzy skupują po wsiach kury, jaja, nierogaciznę i t. d. Czatują przy rogatkach miejskich, ażeby drobnych dostawców nie dopuszczać na targi, których są panami. Wielce im sprzyjają niedogodności dostawy, brak komunikacji, brak dostępnych taryf podmiejskich, wreszcie tysiączne ograniczenia chłopa w mieście, który zahukany, gnany z ulicy na ulicę, popychany na targowiskach, boi się jechać do miasta i rad jest, jeżeli go przyłapie pośrednik lub jeżeli mu się uda sprzedać swoje produkty skupywaczowi na miejscu.

Ofiarą pośrednictwa i spekulacji jest nietylko wytwórca, ale i spożywca. Od dostawców—pośredników zależy całkowicie handel detaliczny. W takich warunkach sztucznie wytworzona gorączka drożyzniana musiała dojść gwałtownie do wysokiego stopnia, wytworzyć pognębienie ogólne, a nawet popłoch.

Na szczęście zaczął się budzić dorywczy ruch samoobrony na drodze kooperatyw doraźnych i wogóle dążności do wyzbycia się zależności od pośredników. Magistraty i fabrykanci sprowadzają wagonami kartofle bezpośrednio od wytwórców dla swych pracowników; różne grupy pracowników na własną rękę tworzą kooperatywy koleżeńskie celem zakupów hurtowych. Tu i owdzie wytwórcy i hodowcy postanowili nawiązać stosunki bezpośrednie ze spożywcami. Na posiedzeniach różnych instytucji poruszono potrzebę walki z pośrednictwem, wogóle samoobrony ludności za pomocą związków spółdzielczych. Objaw to wielce dodatni i pomyślny. Swiadczy on, że śród ludności zaczyna się budzić uświadomienie w kierunku zwalczania spekulacji i pośrednictwa za pomocą racjonalnych zabiegów i organizacji ekonomicznych. Jest to tylko odruch samoobrony; ale ten odruch może wyrwać ogół ze snu i stanie się bodźcem do stałej walki z pośrednictwem za pomocą tworzenia silnych i trwałych zrzeszeń.

Samoobrona ta, podjęta w takiej chwili, jest najlepszym, najskuteczniejszym sposobem szerzenia idei kooperatyw i wcielania jej w czyn.

*Zenon Pietkiewicz.*

## Neopozytywizm, neoromantyzm a socjalizm.

Jest konsekwencją nieuniknioną naszego położenia politycznego, iż w pewnych, nieledwie perjodycznych, okresach czasu powraca, w zmienionych warunkach zewnętrznych, zagadnienie, sięgające w głąb i istotę kwestji polskiej: czy praca nad *wewnętrznym* rozwojem narodu, skoro zewnętrzny nie od nas w zupełności lub części zależny, czy też, śladem ideologji przeszłej — dążność nieustępliwa do osiągnięcia wpierw *niezależności* narodowej? Oczywiście zagadnienie to, w powyższej formule przejawione, nie zdarza się i nie „realizuje" nawet w ujęciu kwestji;

---

6)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

# FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

— To pan zapewne wszystkie pieniądze wydał— zawołała przerażona. — Jak można postępować tak lekkomyślnie!

— Niech się pani nie obawia. Wydawca (niech go pioruny) sypnął pieniędzmi, jak piaskiem. Dostałem 100 wołów za moje „Perły w omdleniu" — odpowiedział wesoło Andrzej. — Głównie o to chodzi, gdzie tego Olimpijczyka postawić.

W tej chwili wszedł Jan. Był dziwnie smutny, prawie ponury. Przywitał się chłodno i przeszedł do swego pokoju.

Oni spojrzeli po sobie z lękiem.

— Znów w złym humorze — szepnęła pani Emilja. — To się teraz zdarza coraz częściej.

— Czy Jan czasami nie wdał się w jakie spekulacje giełdowe — zapytał Andrzej. — Bo rzeczywiście z dnia na dzień jest smutniejszy.

— To napewno nie — rzekła z westchnieniem.

— Trzeba go wybadać delikatnie. Najlepiej niech pani to uczyni przy sposobności.

Młoda kobieta chciała iść za Janem, gdy ten stanął w drzwiach niespodziewanie.

— Obiad jest?

Słowa tkliwego pytania zamarły na ustach p. Emilji. Twarz Jana była zimna i odpychająca. Stał, nie patrząc na nich, z pozornym spokojem, który niezręcznie ukrywał w nim jakiś smutek szalony.

— Przejdźmy do stołowego pokoju — rzekła p. Emilja, spojrzawszy na Andrzeja wzrokiem, który mówił: „Napewno miał w biurze jakieś zmartwienie". Jan spojrzenie to schwytał i uśmiechnął się boleśnie.

Bez słowa przeszli do jadalni i usiedli przy stole, milcząc. Po pięknym, jasnym pokoju przesuwał się jakby cień smutku. Obiad, zawsze wesoły, pełen żartów i dowcipów Andrzeja — wlókł się jak czarny karawan, odprowadzany wzrokiem obojętnych przechodniów. Pierwszy poeta, widząc coraz bardziej rosnące zdenerwowanie Jana, rzekł, robiąc z wysiłkiem swobodę, która go opuściła od pierwszej chwili.

— Wiesz Janie, otrzymałem pieniądze za tom!

— Więc jesteś dzisiaj bogaty — odpowiedział

tym bardziej dziś, gdy warunki zewnętrzne narodu, przynajmniej w dwu zaborach, nie dopuszczają poprostu takiego... postawienia problemu Mimo wszystko bowiem, *rzeczywistość* nieubłagana i smutna jest owym nieomylnym regulatorem, ową „bezwiedną" wytyczną i granicą w obrębie której zagadnienie społecznego... neoromantyzmu z konieczności musi się rozwijać, wyjątkowo tylko i najczęściej nieodpowiedzialnie wychodząc w jednostkowych zakusach po za tę granicę, czasem miejscem i stosunkami podyktowaną. Chcę przez to powiedzieć, iż walkę neopozytywizmu społecznego z neoromantyzmem społecznym, jak słusznie zaznacza autor artykułu: „Neopozytywizm czy neoromantyzm?" [1]) p. Józef Waśń, bez trudu zauważyć się dającą przez każdego, kto śledzi nurt „ideologji społecznych", iż walkę tę prowadzoną w publicystyce od czasu pewnego ze stanowiska raczej teoretycznego, rozwiązać, czy ująć w naturalne tory, może tylko życie i warunki położenia narodowego, że one jedynie, wciąż zmienne zresztą i nieraz ciężko ujmowalne, powinny dać materjał praktyczny, popierający przesłanki jedne lub drugie.

Jest jednakże specjalnością naszych stosunków społeczno-narodowych, iż prawdy niewątpliwej, rozstrzygnięcia niezawodnego one w sobie nie kryją, jeśli chodzi o podłoże i samą kwestję, którą się zajmujemy. Nie jest to bynajmniej odosobnione. W sferze gospodarczej, tej więc sferze w której rzeczywisty układ stosunków tak niezmiernie ważną gra rolę, często owego „stanu faktycznego" po nad wszelką wątpliwość ująć nie można; typowy przykład w tej mierze daje kwestja parcelacji, którą u nas na tory normalne głównie dlatego tak trudno zwrócić, iż dane faktyczne, cyfry i tendencje znamienne ujmowalne są niezmiernie powoli, niedostatecznie.

Tym więcej w życiu i ideologji narodowo-społecznej. Już dowolność terminów: „ideowość, ideologja", wskazuje na to, z jak nieścisłymi pojęciami ma publicystyka tu do czynienia. Nikt sfery tej, wzorem klasyfikacji nauk nie zdołał dotąd określić granicami, kompetencją.

Używamy tych pojęć wygodnych wszyscy, jednakże nie należy nigdy zapominać o tym, że ideologję narodu zrozumieć możemy jedynie na tle życia kulturalnego, gospodarczego, politycznego społeczności narodowej, a to życie tak wysoce skomplikowane trudno ująć w formułę i schemat jeden, niezawodny środek na wszystko.

Dlatego strzedz się należy, o ile możliwe, w życiu społecznym, konstruowania kierunków i programów — mających być takim generalnym sprawdzianem wszystkiego, co się z nim dzieje.

Pan Waśń w *Przedświcie* — dyskutując ze mną szeroko na temat neopozytywizmu przezemnie „głoszonego", kończy swój artykuł w sposób wielce charakterystyczny: „A więc ani pozytywizm ani romantyzm *jeno socjalizm*! A więc nie cuda (romantyczne) jeno naukowy, krytyczny *marksizm*!"

Zazdroszczę p. Waśniowi jego niezwyczajnej w dzisiejszych czasach *wiary* w hasła, których jest wyznawcą. P. Waśń jest... socjalistą, i to mu najzupełniej wystarcza. Na wszystkie bolączki społeczne, na najbardziej złożone zjawisko umysłowe, kulturalne, ideologiczne życia zbiorowego, ma jeden — jedyny talizman — socjalizm.

Do pewnego stopnia jesteśmy tym zdziwieni. Przyzwyczailiśmy się—i to na korzyść walną zwolenników *Przedświtu* i P. P. S. dzisiejszej stwierdzamy,— że w szeregach jej nie spotykano już czasami ostatnimi zaciekłych ortodoksów „naukowego socjalizmu", tych sui generis fanatyków, których tyle nieprawdopodobnych okazów znajduje się w szeregach S. D. K. P. i L. a także i Lewicy. Kierunek niepodległościowy socjalizmu polskiego dał istotnie liczne dowody, że marksizmu nie pojmuje w tak scholastyczny i dogmatyczny sposób, jak to czynią u nas jego niepowołani zgoła wyznawcy i obrońcy, że owszem poszedł po linji swobodnego rozwoju, czasem więcej dbając o założenia *narodowe*, niżli „nieaktualne" konsekwencje gospodarcze i kulturalne naukowego socjalizmu i materjalistycznego pojmowania dziejów. Wobec tego dziwi więc nas nieco ten „naukowy i krytyczny marksizm" u p. Waśni, w czambuł potępiającego biedny... neopozytywizm.

Pan Waśń — chyba nie może nie wiedzieć, że ze strony *socjalistycznej* (nietylko burżuazyjno-mieszczańskiej) dawno przypuszczono szturm do zasady, iż socjalizm, jako kierunek naukowy, jest poglądem na świat *pełnym*, daje kryterja osądu, wystarczające dla oceny wszelkich zjawisk gospodarczych i kulturalnych. Jeśli chodzi o sferę gospodarczą — to kwestja agrarna jest typowym przykładem, jak dalece mogą

[1]) „Przedświt", — lipiec — sierpień, 1911. Zeszyt 7-8.

---

Jan, jakby z lekką ironją, która boleśnie dotknęła Andrzeja.

Spuścił głowę i zamilkł.

— Już mnie ma dosyć — pomyślał z głębokim żalem. Jego radość zbladła w jednej chwili, a fakt wydania poezji zmalał do nic nieznaczącego wydarzenia.

— A wiesz, co za nie kupił? Posąg Dyonizosa do salonu i srebrną papierośnicę dla ciebie.

— Którą racz przyjąć na pamiątkę naszej przyjaźni — rzekł z wysiłkiem poeta, podając zawiniątko.

Po ustach Jana przebiegł ten sam uśmiech gorzkiej ironji Wziął papierośnicę i powiedział: dziękuję! Nie wyciągnął ręki, jak to zwykł czynić przy każdej sposobności, dopiero po chwili to uczynił, lecz jakby z pewnym wahaniem. Poeta odczuł to i ból serdeczny przeszył mu serce! Swoją rękę podał zimno, powtarzając w myśli:

— Tak, napewno już ma mnie dosyć...

Jakby szatańską sztuką uczyniony — obraz jego straszliwego mieszkania w kamienicy Górnickiego przesunął mu się przed oczyma. Poeta zobaczył wyraźnie swój dawny pokój z czarnymi ścianami, brudny, zaśmiecony, pełen robaków, włóczących się po kątach i widok ten zamroczył go jak dym trujący. Oparł głowę na dłoniach i patrzał w dno swego talerza, blady z przerażenia.

Ocknął się na słowa Jana, który czytał łaciński napis:

— *Nihil est jucundius lectulo domestico.* Prawdziwe zdanie — rzekł. — Nic piękniejszego nad domowe ognisko! Tylko... ono musi być płomieniem, nie swędem...

Pani Emilja pobladła lekko, a poeta, jakgdyby pod presją nagłego rozkazu, spojrzał prosto w oczy Jana i zapytał spokojnie:

— Janie, od dwóch tygodni zauważyłem, że straciłeś humor. Jesteś smutny, a czasami zgryźliwy... Może masz mi coś do zarzucenia — to proszę, powiedź odrazu! Ja nie przypuszczam, abyś miał powód zmienić to wyobrażenie o mnie, które ci pozwala traktować mnie jak przyjaciela!

Jan milczał. Unikając jego spojrzenia, odpowiedział po długiej chwili:

— Ja nic nie mogę wam zarzucić... i jeżeli jestem inny, to nie moja wina.

— Wam? — powtórzył poeta. — Co to znaczy Janie?

— To znaczy, że od dwóch tygodni ustawicznie otrzymuję listy o was, o tobie Andrzeju i o... Mili! Ja w to nie wierzę, bo gdybym wierzył, wierz mi, już

odbiegać abstrakcyjnie głoszone formuły naukowego socjalizmu od rzeczywistego układu stosunków.

Lecz nie chcąc ograniczyć się na kwestjach gospodarczej natury, odesłać możemy p. Waśnia do znamiennej wielce książki p. Tytusa Filipowicza p. t. „Zagadnienia postępu", w której tenże, socjalista z przekonań, zaznacza niejednokrotnie, że „u socjalistów kwestja *możliwości realizacji bezpośredniej* odgrywa rolę bardzo skromną, natomiast rolę wybitną odgrywają tendencje ogólne społeczno-polityczne, oraz wysoki stopień ideowości".

P. Filipowicz czerpie materjał dla swych poglądów z literatury europejsko socjalistycznej, z którą zapoznał się nieraz z drugiej ręki, ale zawsze dokładnie i na podstawie tej, jak również własnych spostrzeżeń, twierdzi on, że wszelkie programy społeczne są „mniej lub więcej prawdopodobnymi hipotezami", że i socjalistyczny program, tak jak on się w naukowym ujęciu przedstawia, jest jedynie prognozą, przewidywaniem i wnioskowaniem z faktów i tendencji na przyszłość, nie jednak jakimś nieuniknionym stadjum rozwoju społecznego.

Tak mówi socjalista obozu P. P. S. o swoim socjalistycznym programie. Ale to p. Waśniowi nie przeszkadza... bombastycznie i z tryumfem wołać: „jeno socjalizm", precz z wszelkimi „dodatkami!"

„Żadnej konieczności, tkwiącej w ekonomicznych warunkach, konieczności naturalnej, któraby *musiała* doprowadzić postęp społeczny (wogóle) do ustroju socjalistycznego, — niema" (Filipowicz). W szczególności w rewolucję socjalną, przemieniającą różdżką czarodziejską i katastroficznie ustrój kapitalistyczny w ustrój socjalistyczny wierzą już tylko nieliczni „agitatorzy broszurkowi"; tak ma się z wielu podstawowymi i drugorzędnymi twierdzeniami nauki socjalistycznej. Wreszcie prof. Sombart zaprzecza naukowości socjalizmowi społecznemu; w istocie doktryna, mówiąca o tym, co być powinno i co będzie, a nie o tym co jest, nie jest nauką, lecz „polityką, ideałem, filozofją, światopoglądem, etc.".

Materjalizm dziejowy, uzależniający wszelkie zjawiska kulturalne i historyczne od czynnika ekonomicznego, niewątpliwie z biegiem czasu zatraci swoją wulgarną interpretację; nie ulega zajmniejszej wątpliwości, że „zależność wszelkiej ideologji i czynników nieekonomicznych od czysto ekonomicznych jest bez porównania *większa* w społeczeństwach pierwotnych, gdzie otaczająca przyroda wywiera wpływ decydujący na sposób myślenia, niż w społeczeństwach cywilizowanych, gdzie *samodzielnie* wytworzyły się instytucje prawne i polityczne, literatura i sztuka i wszelkiego rodzaju tradycja intelektualna, *przeciwstawiająca* się poglądom, zrodzonym przez wpływ bezpośredni otoczenia" [3]). Wedle Engelsa ludzie pierwotni zależni byli od zjawisk ekonomicznych znacznie więcej niźli społcześni.

(d. n.). *Dr. Leon Biegeleisen.*

[3]) Filipowicz.

# Listy z Krakowa.

## IX.

### Dwudziestolecie Tow. Szkoły Ludowej.

Adam Asnyk dając przed 20 laty inicjatywę do założenia Tow. Szkoły Ludowej (T. S. L.) rozumiał, że „aby ludzkość nie przerastala nas o głowę...

Trzeba z cienia i pleśni dobyć myśl dziejową
I ze światem żyjących pojednać na nowo
W imię świtu wolności, co dla wszystkich błyska!"

Tą myślą dziejową było zmniejszenie analfebetyzmu w Galicji. Dziś jeszcze na 1000 mieszkańców powyższej lat 6, a zatym wieku, w którym się rozpoczyna przymus szkolny, liczy Galicja 566 analfabetów. W Galicji zachodniej nie umie czytać, ani pisać 279 mężczyzn i 306 kobiet na 1000 osób każdej płci, we wschodniej aż 567 i 697.

Stosunki poprawiają się stale, a hasło niesienia oświaty w lud tak jest popularnym, że T. S. L. liczy 30 tys. członków, złączonych 277 kół i 17 związków okręgowych, a na cele swoje w ciągu minionych lat 20 uzyskać potrafiło od społeczeństwa koło 5 miljonów koron. Po za tym istnieje znany dar grunwaldzki na który zadeklarowano już koło $1^1/_2$ mil. a złożono przeszło pół miljona.

Potrafił przeto poeta odszukać najpopularniejszy cel, a działaniu towarzystwa nadać rozpęd, który na długie jeszcze wystarczy lata. Z tego też powodu

---

dawno w łeb bym sobie strzelił, ale odbieram, rozumiesz? odbieram — zawołał Jan, wyjmując jakąś pomiętą kopertę z kieszeni... — I to, co tam czytam, zabiera mi życie!

Wyjął list z koperty, mówiąc:

— Jeżeli chcesz posłuchać, czym mnie raczy ta gadzina, to słuchaj:

„Osoba, której celem życia jest czynić dobrze bliźnim swoim, czyni akt miłosierdzia i względem ciebie. Twoja bezprzykładna dobroć nie odmieniła węża, którego ogrzewasz ciepłem własnej piersi. Mieszkający w domu twoim p. Andrzej Czerwiński, dopuszcza się zbrodni moralności na osobie twojej żony. Kochankowie, ilekroć wyjdziesz z domu, oddają się występnej miłości. Zwróć tylko baczniejszą uwagę, a przekonasz się sam — i nie lekceważ, jak dotychczas, mego ostrzeżenia! Strzeż się hańby, która może okryć twoją młodą głowę!"

— Dlaczego nie spaliłeś tego paskudztwa? — zawołał z oburzeniem poeta.—Wszak wiesz, kto to pisał!

— Wiem, panna Braumann.

W tej chwili pani Emilja, wybuchnąwszy płaczem, wybiegła z pokoju. Po twarzy Jana przebiegł skurcz boleści, lecz nie wstał i nie poszedł za nią. Milczał, obracając list automatycznie, jakgdyby cały pochłonięty jakąś myślą tragiczną!...

— Tak, tak — szeptał co jakiś czas bezdźwięcznie. — To rzeczywiście straszne.

Siedzieli tak czas jakiś, obaj oszołomieni i strwożeni tą nową sytuacją. Dopiero po chwili Andrzej, wstając od stołu, rzekł, czując, że z każdym słowem krew ucieka mu z serca.

— Janie... ja... w takim razie... opuszczę twój dom na zawsze ..

Popatrzał na przyjaciela śmiertelnie przerażony, bojąc się usłyszeć słów, potwierdzających jego zamiar. Serce przestało mu niemal bić z rozpaczy na myśl, że Jan zgodzi się i że on znów powróci do tej czarnej nędzy, która go przejmowała dreszczem obłędnej trwogi.

Ale Jan zaprzeczył stanowczo.

— Nie, Andrzeju, to zbyteczne. Ja ci wierzę!

— Niestety, nie tak, jakby należało przypuszczać!

— Ale ja ją kocham — szepnął, wskazując oczyma drzwi, którymi wyszła pani Emilja.—Kocham i gdyby odeszła odemnie, och! Andrzeju! — Spojrzał prawie nieprzytomnie i załamał ręce z rozpaczą. — Ani ona, ani ty, ani nikt na świecie nie wie, czym ona jest dla mnie — i ja nie wiedziałem do niedawa. Te-

sprawozdanie [1]) T. S. L. za ubiegłe lat 20 poświęcone jest Asnykowi.

Do bezpartyjnych haseł zwalczania ciemnoty i analfabetyzmu, przybyło wkrótce wyraźne dążenie polszczenia, a raczej odczeszczania i odniemczania kresów zachodnich, oraz ratowania od zagłady polskiego elementów w Galicji wschodniej.

Tow. Szk. Lud jest dziś wyraźnie towarzystwem politycznym dlatego, że na walnych zjazdach walczą ze sobą wszechpolacy i ludowcy. Walka ta występuje na walnych zjazdach i odzywa się nawet przykrym echem, jak to miało miejsce na odbytym przed kilku dniami zjeździe dorocznym w Nowym Sączu.

Pomimo tej walki, choć zaznaczyła się tam nawet chęć wyrwania kierownictwa z doświadczonych rąk wieloletniego prezesa prof. Ernesta Bandrowskiego, zgromadzonych 300 delegatów rozjechało się w zgodzie i pracować dalej będzie. Walka to z wrogiem zewnętrznym, który pragnie wszystkimi sposobami zmniejszyć stan posiadania polskiej kultury, wykazać, jak to miało miejsce przy spisie ludności w grudniu, zmniejszenie liczebne polskiej ludności. Wobec tego groźnego niebezpieczeństwa walki partyjne ustępować muszą na plan drugi, świadcząc, że węzły narodowe są przecież silniejsze od różnic partyjnych.

W Galicji wschodniej, gdzie wśród 4,8 miljonów ludności polacy stanowią 40 proc., najliczniej są rozsypane koła i kółka T. S. L. Na pierwsze miejsce wysunęło się tu koło w Tarnopolu, które założyło i prowadzi 3 szkoły handlowe, bursę, bibliotekę publiczną, uniwersytet ludowy, muzeum ziemi podolskiej, biuro porady prawnej, 39 szkół początkowych, 12 kursów dla analfabetów, 130 czytelń. Niema najmniejszego miasteczka, a nawet wsi, gdzieby nie było koła T. S L. a współdziałają tu obok inteligencji włościanie. Nawet dzieci z inicjatywy redakcji pisemka *Mały Światek*, wychodzącego we Lwowie, uzbierały fundusz, który wystarczył na założenie szkoły we wsi Kulikowo, pow. Złoczowski, o ludności rdzennie polskiej, która zupełnie po polsku mówić zapomniała.

Na kresach zachodnich punkt ciężkości działań T. S. L. leży w Białej, która wraz z Bielskiem leżącym naprzeciwko po drugiej stronie rzeki stanowi jeden z większych centrów fabrycznych w Galicji. T. S. L. utrzymuje tu gimnazjum realne, seminarjum nauczycielskie i szkołę ludową i wydziałową, oraz szkoły w wioskach pobliskich Leszczynach i Hołcnowie i stąd posuwa się na Śląsk i Morawy.

Praca na kresach zachodnich jest nietylko organizowaniem szkół, co rozpoczęła już Śląska Macierz szkolna, ale ciągłą walką z niemieckim Schulvereinem i czeską Maticą Skolską. Szkoły muszą stać na wysokości tej samej, co czeskie i niemieckie, ażeby przyciągnąć dzieci i rodziców, którzy oddają często pierwszeństwo wzorowo prowadzonym szkołom czeskim i niemieckim, Postulatem ważnym było stworzenie szkół średnich, aby wychować polską inteligencję, któraby prowadziła dzieło polskiej oświaty wśród ludu. Oprócz gimnazjum polskiego w Cieszynie, którego upaństwowienie tyle kosztowało trudów, stworzono przeto gimnazjum realne im. J. Słowackiego w Orłowej. W Radwanicach i Herzmanicach założono szereg szkół ludowych i ochronek. Na Morawach, w Morawskiej Ostrawie i Czechowicach, założono szkoły wydziałowe i szkoły ludowe i ochronki w Przywozie, Marjańskiah górach, Witkowicach i t. d. świadczą o niesłabnącej pracy i ruchliwości towarzystwa.

Trudno wyliczać tu olbrzymią litanję szkół wszelkiego typu wybudowanych, a nawet i utrzymywanych przez T. S. L. Wystarczy powiedzieć, że pobiera w nich naukę 14000 młodzieży płci obojej. Najczęściej szkoły te po wybudowaniu i urządzeniu przechodzą pod zawiadywanie Rady Szkolnej Kraj, a Towarzystwo udziela w całości lub w części funduszów na ich utrzymanie.

Od samego początku istnienia swego T. S. L. podjęło walkę z analfabetyzmem dorosłych, zakładając kursy czytania i pisania. Aż do ostatniego roku prowadzone były także kursy wśród żołnierzy, co jednak przerwanem zostało na rozkaz komendy wojskowej.

Ochronek założyło T. S. L. 18. W wielu wypadkach przechodzą one pod opiekę Siòstr im. Maryi, które łączą je z kursami gospodarstwa domowego i szycia dla matek. Kursy dają utrzymanie i możność nauki synom i córkom włościańskim, którzy wprost tłoczą się dziś do średnich zakładów naukowych. Godnym uwagi jest typ uczelni, których 5 założyło izraelickie koło T. S. L. im. Goldmana, są to ogniska wychowawcze, przeznaczone dla chłopców w poza-

[1]) Dr. M. Stępowski: Tow. szkoły ludowej, jak powstało, co zrobiło i do czego dąży (1891—1911) s 141. Książkę zdobią liczne podobizny szkół, domów ludowych, burs, ochronek i t. d. założonych przez T. S. L.

---

raz dopiero, kiedy każda myśl, że ją utracić mogę, przeżera mi mózg, kiedy mnie strach za łeb chwyta i rzuca o podłogę jak łachman, kiedy rozumiem i wiem, że bez niej to mieszkanie byłoby morgą, a moje życie głupią komedją „dell'arte", och! wtedy rozumiem, czym jest dla mnie teraz... Kocham ją Andrzeju! Kocham ją i w tym jednym słowie masz całe moje życie!

— Ja ci przysięgam, że do twojej żony nie powiedziałem jednego słowa niewłaściwego. Janie! — zawołał poeta, przechylając się przez stół ku niemu — jedną na świecie kochałem kobietę, to była moja matka! Przysięgam ci na jej kości, zbutwiałe w ziemi, że twoja żona jest najniewinniejsza, a ta baba łże od początku do końca!

Jan zakrył twarz rękoma i zaczął powtarzać raz po raz:

— Ja ją tak kocham, ja ją tak kocham...

— Złość ludzka niema granic — rzekł poeta poważnie. — Ta przeklęta poczwara przez szyby okna, przez mury kamienicy czuje, że w tym mieszkaniu jest cicho i spokojnie. Duch słodkiej radości unosi się w tym domu, opromieniając serca ludzkie łagodnym spokojem. Czyż ona może to ścierpieć? ona, która jak nietoperz żyje w ciemnościach swojej starości?! Czego żądasz od kobiety, która nienawidzi życia, której serce spływa jadowitą trucizną na widok twarzy, śmiejącej się bez troski! Jedyną jej radością jest tworzyć nieszczęście, bo to tamtych czyni podobnymi do niej, a ona by chciała cały świat widzieć w kirze karawanu, bo sama już oddawna jest więcej trupem, niż człowiekiem! Och Janie, Janie! Dlaczego nie spaliłeś tego listu nie czytając, dlaczego dałeś się opanować potwarzy, która ci jad sączy do serca i zatruwa spokój!

— Bo ją kocham! — zawołał Jan gwałtownie — i gdyby...

Spojrzał na Andrzeja prawie badawczo. Poeta wytrzymał to spojrzenie a jego szare oczy wyrażały smutek bez granic.

— Więc ty mnie nie wierzysz — rzekł cicho.— Och Janie! to bardzo bolesne!

Roll spuścił oczy.

— Słuchaj Andrzeju, ja wiem, żeś ty niezdolny do podobnego czynu ale i ty wiesz dobrze... że miłość mieści w sobie trwogę. Człowiek, który kocha, boi się zawsze, bo niema takiej pewności, jaką może być miłość!...

C. D. N.

szkolnych godzinach. Dziatwa przygotowuje się tam do lekcji i otrzymuje podwieczorki.

We wznoszeniu Domów ludowych dało inicjatywę w Galicji także T. S. L. Obecnie istnieje 5 Domów ludowych typu miejskiego oraz 22 domy na wsi. Za najlepiej zorganizowany uchodzi Dom w Grzymołowie. Znajduje się w nim kółko rolnicze, kasa zaliczkowa, gospoda mieszczańska i kasyno z wielką salą teatralną i odczytową.

Najpopularniejszą i najbardziej rozpowszechnioną w kołach T. S. L. instytucją jest bibljoteka i czytelnia. Sprawozdanie podaje liczbę znajdujących się w nich książek na 180 tys. tomów, a ilość wygłoszonych przez wędrownych prelegentów odczytów na 6400. Są koła, które jak koło w Tarnopolu, założyły z górą 100 czytelń, zwykła zaś liczba dochodzi do 10.

Na polu zawodowego kształcenia młodzieży położyło T. S. L. także pewne zasługi. Wymienić tu należy szkołę handlową żeńską w Tarnopolu, szkoły uzupełniające przemysłowo-handlowe tamże i w Morawskiej Ostrawie, oraz kursy przemysłowo-handlowe. Ostatnie dają naukę szycia, kroju, robót ręcznych, wyrobu guńków nicianych, pończoch, kaftaników, introligatorstwa buchalterji, korespondencji, rachunków kupieckich i t. p. Nie brak nawet kursów rolniczych (Dublany i Zaleszczyki) oraz kursu zawodowego dla dozorców kopalń naftowych w Borysławiu.

Wszechstronność ta i różnorodność wynika z przystosowywania się kół do potrzeb miejscowych, może nawet czasem z upodobań najenergiczniejszych jednostek. Ale dajmy pokój krytyce. Krytyka nie buduje, a tu budować trzeba „aby nas ludzkość jak najmniej wyprzedziła".

*D-r Z. Daszyńska-Golińska.*

# Szkoła cudotwórców.

Kultura Polska omawiając ostatnią książkę pana Wincentego Lutosławskiego *Iskierki*, słusznie orzekła, iż jedyną wartością wystąpień publicznych tego męża jest *szczerość*, dodając przytym, że tej właśnie najważniejszej prawdy Warszawa nigdy mu nie powiedziała. Istotnie, jakkolwiek fantastyczne, bezzasadne i niedorzeczne bywa to, co pan Lutosławski pisze lub mówi, niepodobna zaprzeczyć jednak, że zawsze pisze i mówi z głębi szczerego przekonania.

Ta zapewne kwalifikacja otwarła przed „mistrzem" drzwi jednej z naszych instytucji naukowych, gdzie wobec specjalistów demonstrował on najświeższy swój wynalazek w dziedzinie psychologji stosowanej, nazwany przezeń „psychofizyką integralną". Tę ostatnią p. Lutosławski przeciwstawia dotychczasowej psychofizyce analitycznej lub szczegółowej, badającej pewne, poszczególne zjawiska cielesne w związku z pewnymi poszczególnymi zjawiskami duchowymi. Typowym okazem psychofizyki analitycznej są słynne prawa Fechnera i Webera, usiłujące oblec w formuły matematyczne zależność spraw psychicznych od objawów fizjologicznych i nerwowych. Natomiast psychofizyka integralna czyli syntetyczna wedle pomysłu pana Lutosławskiego, dążyć ma do ujęcia stosunku, w jakim całość spraw duchowych pozostaje do całości spraw fizycznych. A zatym, działanie za pomocą duszy na organizm, tudzież—zapomocą organizmu na życie duchowe: taki jest ścisły zamiar pana Lutosławskiego. W praktyce system ów przedstawi się w postaci stosowania djety oraz rozmaitych gatunków wstrzemięźliwości (nie wyłączając wstrzemięźliwości od snu i oddychania) w celach osiągania coraz wyższych stopni sprawności i potęgi intelektualnej.

Dla realizacji swego systemu pan Lutosławski zakłada obecnie stację doświadczalną, którą śmiało nazwać możemy szkołą cudotwórców, gdyż wyniki, jakie spodziewa się tam osiągać jej fundator przekraczają poziom zwykłych sił i środków naturalnych. Jedno głębokie, żarliwe westchnienie wiary będzie tam przenosić góry i wstrząsać oceany w łożach. Sam mistrz Wincenty co rano bosonóż przechadzać się będzie krokiem apostolskim po mokrej tafli jeziora, nie tonąc i nielękając się nabawienia kataru, owszem, głosem słodkim i spokojnym prawić będzie kazania ze środka wód, niebacząc, równie jak św. Franciszek z Assyżu, czyli go słuchają ptaki czy ludzie. A prawić będzie przedewszystkim o niebezpieczeństwie i szkodliwości dwu teorji naukowych, podkopujących psychologję przyszłości, t. j. psychofizykę integralną: teorji paralelizmu psycho-fizjologicznego oraz teorji podświadomości.

Nie wiem jak propozycje będą przyjęte przez adeptów przyszłej oazy cudów, ale w Tow. Psychologicznym spotkały się one z silną krytyką ze strony członków Towarzystwa.

— Jakto? zapytano: — czyż teorje naukowe, uogólnienia filozoficzne i światoglądy stawić należy w zależność od korzyści doraźnych, jakie zapewnić mogą w praktyce życiowej? Zdawałaby się, iż, przeciwnie, do wszelkich prób i badań eksperymentalnych przystępować trzeba bez uprzedzeń i z góry powziętych idej, z hypotezą wprawdzie, ale z hypotezą mającą swe oparcie w przedmiocie doświadczenia, nie zaś w rachubach całkiem odeń niezależnych.

— Nieprawda! — odpiera pan Lutosławski: — każdy badanie swe rozpoczyna, mając już światopogląd gotowy. Ruch i praca naszej myśli odbywa się pod nieustannym ciśnieniem ogólnych pojęć o świecie, tak, jak spadanie ciał w przestrzeni odbywa się pod ciśnieniem atmosfery.

Nie każdy wprawdzie ciśnienie to dostrzega. niemniej z wpływem jego liczyć się trzeba w nauce, Otóż pewne światopoglądy sprzyjają rozwojowi potęgi duchowej, gdy inne sprawność jej obniżają.

— Jakąż wię koncepcję świata uważać należy za najproduktywniejszą pod względem wyników woli? — pyta ktoś ze słuchaczy.

— Spirytualizm jest tą koncepcją najwyższą, — odpowiada pan Lutosławski: — duch ludzki, odbiwszy się od poziomów materjalizmu i minąwszy po drodze idealizm, stanął wreszcie niezachwianie przy spirytualizmie, jako poglądzie opartym na istnieniu jaźmi, jako substancji odrębnej i nieśmiertelnej.

— Skąd pan Lutosławski wie o istnieniu duszy? pyta znów ktoś z uczestników zebrania.

— Wiem, że dusza istnieje. jako substancja odrębna, — tłómaczy zainterpelowany mówca,—bo ją widzę i czuję w sobie. Temu zaś, kto jej istnienia w sobie nie odczuwa—dowieść, ani wytłómaczyć jej niepodobna. Silne samoprzeświadczenie rozstrzyga tu o wszystkim.

— Tak, replikuje ten-że oponent: przedświadczenie o słuszności swej wiary jest wielką dźwignią w życiowej walce; niestety, nie daje nam ono żadnej rękojmi, iż przedmiot wiary naszej jest prawdziwy. Nie każdy człowiek srodze przeświadczony o tym, że jest królem hiszpańskim. jest nim rzeczywiście...

— Otóż, — woła na to pan Lutosławski, przerywając mówcy, — nie w każdego króla hiszpańskiego człowiek zdolen jest uwierzyć! Liczba idej, mogących zapaść w głębie przeświadczenia ludzkiego, jest ściśle ograniczona... A zresztą, na istnienie duszy, jako substancji, mamy dowody historyczne..

— Jakie?? — pyta ze zdumieniem audytorjum, uszom własnym nie wierząc. — Nigdy jeszcze, zapewne, o mury instytucji naukowej nie obiły się słowa tak zuchwałego twierdzenia.

— Tak! mamy dowody historyczne, — dobitnie powtarza mesjaniczny profesor: — jednym z nich jest Platon, którego pisma przetrwały skroś tylu wieków,

gdy tymczasem dzieła takiego Demokryta zaginęły ze szczętem. Dlaczego? Oto Platon był tym, który pierwszy, na swój sposób, wyraził i uzasadnił istnienie jaźni, gdy Demokryt istnienia jej zaprzeczał, pojmując duszę jako zbiór atomów. I Platon dla swej teorji znalazł tysiące i miljony wyznawców we wszystkich wiekach i pokoleniach, gdy tymczasem Demokryt zyskał tylko szczupłą garstkę zwolenników śród najbliższego swego otoczenia, tak szczupłą iż nie była w możności przekazać utworów jego dalszym stuleciom.

Na tym dyskusja się urwała. Obie strony zrozumiały że stoją na dwu różnych płaszczyznach, między którymi niema połączenia. Dla pana Lutosławskiego wszelkie dowody są dobre, które potwierdzają jego wiarę. W jego świadomości, nie wniosek czerpie moc uzasadnienia z przesłanek, ale przesłanki nabierają powagi dzięki wnioskom, które mają zaszczyt popierać. To też tam, gdzie chodzi o tak kardynalną dlań tezę, jak nieśmiertelność jaźni, wystarczy mu, jako dowód, poczytność dzieł pisarzy, hołdujących tej-że tezie. Im donioślejsza jest dlań teza, tym mniejszy wystarcza mu dowód: — takby można scharakteryzować pochyłość logiczną, po której żywiołowo staczają się wszystkie jego myśli.

Dlaczego, zapytacie czytelnicy, przytoczyliśmy powyżej ów djalog, który miał przebieg rzeczywisty, i, aczkolwiek obraz jego tu podany w szczegółach może być niedokładny, to jednak w tonie ogólnym jest prawdziwy. Czy uważamy pana Lutosławskiego za człowieka niebezpiecznego dla postępu, dla kraju, dla nauki lub oświaty?

Nie! po stokroć nie! Niebezpieczeństwo i szkodliwość tego człowieka tkwi nie w nim, ale w warunkach naszej umysłowości: w ignorancji, w ciemnocie i w nieuctwie szerokich mas ogółu.

W Niemczech, we Francji lub w Stanach Zjednoczonych Ameryki pan Lutosławski jest nietylko nieszkodliwy, ale w pewnym zakresie pożyteczny: tam z niezmiernych obszarów jego chaotycznej erudycji uczeni potrafią dobyć cenne *lucida intervalla*; we właściwym miejscu cytować go będzie James — amerykanin, lub mimochodem, w jakimś szczególe rzadkim i konkretnym, powoła się nań Bergson — francuz... — Bo od tego rodzaju umysłów brać można szczegóły i cenne drobiazgi, ale nie można brać - Filozofji Życia.

Pamiętamy dobrze, z jakim uniesieniem przed kilku laty witały tego „filozofa" tłumy publiczności Warszawskiej w gmachu Filharmonji, gdy rozpoczynał, jak mówił wówczas, po latach tułaczki, służbę narodową w stolicy swego kraju. Otóż potęga owoczesnych uniesień była tym właśnie niebezpieczeństwem społecznym, na które chcemy zwrócić uwagę, niebezpieczeństwem, nie w jednostkach tkwiącym, ale w niemocy społecznej, w zbiorowym nastroju ducha publicznego, który milczenie i obojętność ma dla najkulturalniejszych potrzeb kraju, który instytucjom oświatowym pozwala wegetować w niedostatku, natomiast oddaje całą swą energję do rozporządzenia wieszczkom, derwiszom, hypnotyzerom i — cudotwórcom.

*R.*

# W poszukiwaniu drogowskazu.

## II.

### Trudności podmiotowa naszej polityki.

Wśród czynników, pod których wpływem formowała się myśl polityczna w Królestwie, większość na nią oddziaływać mogła tylko ujemnie. Jakiekolwiek było i jest życie polityczne Galicji i W. Ks. Poznańskiego, w każdym razie oddawna Polacy już biorą w nim czynny udział. W Galicji cały rząd krajowy znajduje się w ich rękach, a w zaborze pruskim od połowy ubiegłego stulecia uczestniczą w samorządzie i życiu parlamentarnym. Dzięki temu, wyrobiły się już tam kadry polityków i parlamentarzystów, a szeroki ogół przywykł do zajmowania się sprawami państwowymi i orjentowania w nich. W Królestwie położenie jest, a przynajmniej było, nieco inne.

Likwidacja resztek polskiego zarządu Królestwa, która nastąpiła po 1863 r., stopniowe usuwanie Polaków z urzędów w administracji i sądownictwie, zupełne odgraniczenie społeczeństwa polskiego od wszelkiego udziału w prawodawstwie i w życiu publicznym, niedopuszczalność krytyki władz państwowych i organów rządu, faktycznie odwróciły uwagę ogółu od spraw administracyjnych i politycznych. Każdego interesowały one o tyle tylko, o ile dotykały go w życiu. Sprawy te straciły dla ogółu charakter, jaki mają w każdym społeczeństwie, biorącym udział w rządzie. A gdy zważymy, że stan taki trwał przez lat z górą czterdzieści, że żyjące dziś starsze nawet pokolenia nie pamiętają czasów, kiedy ważniejsze urzędy publiczne sprawowali Polacy, że zatym nawet ten pośredni związek z życiem państwowym, przez krewnych i znajomych urzędników, dla nas ustał, a jedynym łącznikiem z tym życiem była potrzeba załatwienia interesów w urzędach, od dość dawna wyłącznie rosyjskich, to zrozumiemy, jaką lukę wytworzyły te warunki nietyle może w naszych poglądach na życie państwowe, ile przedewszystkim w naszych instynktach politycznych.

Polityka nabrała dla nas z konieczności znaczenia czysto abstrakcyjnego. W przeważnej części społeczeństwa straciliśmy poczucie potrzeby realizacji postulatów politycznych.

Prawa i reformy spadały na nas z zewnątrz, jak siła żywiołowa, od nas zupełnie niezależna, najczęściej nam nieprzychylna, lub przynajmniej do naszych potrzeb nieprzystosowana.

O zobojętnieniu dla spraw prawno-politycznych i administracyjnych świadczy ubóstwo, powiedzmy wprost, brak zupełny odpowiedniej literatury w języku polskim. Nie chodzi już o samodzielne badania, ale my wszak nie mamy nawet tekstów prawa obowiązującego, nie mówiąc już o jego wyjaśnieniach.

Przyczynił się do tego stanu brak u nas prawników-teoretyków, będący bezpośrednim następstwem braku uniwersytetu polskiego w Warszawie. Poza uniwersytetem poważnej nauki być nie może. A chociaż mamy dwa uniwersytety polskie, nie korzystamy z nich jednak należycie, a już w szczególności w dziedzinie, która nas tutej interesuje, co tłomaczy się tym znowu, że profesorowie i uczeni galicyjscy ze względu na charakter swych katedr, przedewszystkim prawu austryackiemu pracę swą poświęcają. Brak uniwersytetu zatym z jednej strony, a warunki polityczne naszego życia z drugiej strony, wywołać musiały ten skutek, że my nie „umiemy" ani polityki, ani administracji, to znaczy, że straciliśmy obok poczucia potrzeby realizacji postulatów politycznych i poczucie techniki polityczno-administracyjnej. Stąd znowu wynika, że najbardziej fantastyczne hasło u nas rzucić można zupełnie bezkarnie, bo nie będzie urzeczywistnione, nie ulegnie zatym rewizji praktyki życiowej, nie będzie wymagało ani przezwyciężenia żadnych przeszkód, ani wypróbowania żadnych środków; jedynym więc sprawdzianem dla niego może być uczucie, które dane hasło wzbudza w masach, i pewna wewnętrzna konsekwencja, o którą zresztą nie tak trudno.

To też w dziejach naszych ubiegłego stulecia roiło się od haseł i wzniosłych, i pięknych, i popularnych, które albo nigdy nie zetknęły się z rzeczywi-

stością, albo pryskały przy zetknięciu z nią, jak bańki mydlane.

Obok upośledzenia myśli politycznej, szły równoległe przeszkody, które napotykała praca społeczna, czy to, jako przedsięwzięcie kulturalne lub oświatowe, czy to, jako zrzeszenie jakiejkolwiek natury, choćby nawet spożywcze lub ekonomiczne.

Wobec tego dziwić nas nie powinno, że ponosimy skutki nietylko braku szkoły politycznej, ale i wyrobienia we współdziałaniu społecznym.

Kiedy w całym świecie cywilizowanym ducha przedsiębiorczości, według wyrażenia jednego z prawników francuskich, utożsamiano z duchem solidarnego współdziałania, wszystkie zrzeszenia w naszym kraju można było na palcach policzyć. Ale tutaj nie kończy się jeszcze spis ujemnych czynników naszej szkoły życia publicznego. Wiek XIX był dla całej Europy okresem demokratyzacji społecznej. Olbrzymi ruch ku równouprawnieniu politycznemu i obyczajowemu wypełnił to stulecie zdumiewające ogromem pracy i donioslością reform społecznych i politycznych.

Gdy jednak na Zachodzie reformy te weszły w życie, jako wynik długich przygotowań i głębokich przeżyć, a często i bardzo ostrych starć w łonie samego społeczeństwa; gdy tam reformy te były przetrawione, przemyślane, pogłębione przez społeczeństwa: na nas spadły one, jak wszelkie inne prawa, bez przygotowania, tak koniecznego, aby z nową formą, nowy duch przeniknął społeczeństwo, aby nowe prawo stało się jego instyktem.

Poczynając od narzuconego nam Kodeksu Napoleona, nieprzeżyliśmy, ani równouprawnienia żydów, ani uwłaszczenia włościan, ani samorządu gminnego, ani zniesienia klasztorów, ani sekularyzacji dóbr duchownych, ani przepisów o ochronie pracy, tych najważniejszych etapów w rozwoju ducha równości społeczeństw nowożytnych.

Nie mogło to nie uwydatnić się na naszym demokratyzmie, którego nie uczyliśmy się tak samo, jak nie uczyliśmy się polityki, administracji i solidarności społecznej. Jeżeli do tego dodamy, że inteligencja nasza przeszła przez złą szkołę średnią i wyższą, w której nauka historyi i literatury ojczystej była traktowana w sposób urągający nietylko najelementarniejszym wymaganiom pedagogiki, ale, i przedewszystkiem, prawdzie; że ograniczenia cenzuralne nie pozwalały społeczeństwu porozumiewać się w najżywotniejszych dlań sprawach; że zaniedbana oświata ludowa daje przerażający wprost procent analfabetów, a zatem zmniejsza znacznie ilość uświadomionych, lub choćby zdolnych do uświadomienia obywateli kraju, to zrozumiemy braki, które w każdym z nas spotykać musi myśl polityczna u samego progu swego istnienia. Nic też dziwnego że my, którzy nie przetrawiliśmy wielkich ruchów XIX stulecia, którzy od stu lat prawie nie praktykowaliśmy realnej pracy państwowej, którzy od czasu ostatniego rozbioru prowadziliśmy tyle walk beznadziejnych, doznaliśmy tylu zawodów i niepowodzeń, całą duszą zwróciliśmy się do poezyi, która budziła w nas nadzieje i krzepiła w chwilach zwątpienia przenosząc w sferę ideałów, możliwych czy niemożliwych, ale odrywających od rzeczywistości bolesnej, a często tragicznej.

I ta poezja na tle okropnej rzeczywistości, z jednej strony pogłębiała jej rozkładowe działanie, ale z drugiej strony — podtrzymywała ducha narodowego na wyżynie.

Bez tych lotów podniebnych, choć tak nie realnych, być może poczucie narodowe nie wyszło by tak zwycięsko z walk przeciwko niemu skierowanych.

A że ono świeci w pełni blasku, o tym zaświadczył rok 1905.

Społeczeństwo nasze, zdobywszy chwilowo swobodę działania, dało dowody takiego zapału, takiej żarliwej chęci służenia sprawie ojczystej, takiej bezinteresowności i poświęcenia, że historya niewiele równych przykładów przytoczyć by mogła.

I my doprawdy niedostatecznie oceniamy całe piękno miśnionego okresu i wiarę, które on w nas winien budzić.

Ale oczywiście, że nie mogły się w owych chwilach nie uwydatnić braki, które wytworzyło wieloletnie położenie naszego kraju.

Nie można się nauczyć pływać, nie pływając, nie można się nauczyć rządzić, nie rządząc, i nie można robić dobrej polityki, nie praktykując jej w ciągu tak długiego okresu.

To też u nas łatwiej o hasło, niż o program, łatwiej o program, niż o sposób jego urzeczywistnienia. Nie znaczy to wszakże, aby i ten program nie przedstawiał nieprzezwyciężonych trudności.

Bo nie dość, że nasze przygotowanie polityczne jest tak niedostateczne, dano nam do rozwiązania zadania tak trudne, jakich nie ma bez wątpienia żaden naród na świecie.

*Józef Lange.*

# KRYTYKA.

## Upadek powieści literackiej.

Jedną z klęsk nienajmniejszych, jakie nękają nas w chwili obecnej, jest powódź literatury sensacyjnej.

Możnaby powiedzieć bez przesady, niestety, że kto u nas wydźwignie się z mroków analfabetyzmu, ten natychmiast wpada w bagno powieści kryminalnych. Lud nasz otwiera oczy swego ducha z trudem, powoli, wznosi powieki z niezmiernym wysiłkiem, bowiem ciążą na powiekach jego stulecia głębokiego snu, niewoli, zastoju: atoli pokonawszy opór dziejowego bezwładu, cóż widzi wokół siebie chciwymi oczyma? Krwawe płachty zbrodni, łachmany występku, nędzę zwyrodnienia. Usłużny Sherlok Holmes prowadzi oszołomiony tłum czytelników w jaskinie mordu, skrada się sam na palcach, ściskając w ręce rewolwer, albo sztylet, a w ślad za nim skradają się po ścieżkach tajemnych rozbujałej wyobraźni tysiące czytelników, skradają się wraz z nim i razem z nim tropią, czają się, węszą krew, zbrodnie, gwałt, ohydę. Serce ich uderza do taktu nie skrzydłom orlim, ale skrytobójczym ciosom mordercy. Ich ciekawość nie wzlata jak ptak, w krainę ducha, ale czołga się, jak wąż, oślizgłą piersią po dnie pieczar, pełnych zdrady i mroku.

Przemożnego wpływu tej suggestji na szerokie masy społeczne bynajmniej lekceważyć nie należy. O jego potędze przekonaliśmy się naocznie przed miesiącem, w czasie rozpraw sądowych o zabójstwie Stanisława Chrzanowskiego. Zainteresowanie się ogółu tą sprawą było rzeczą zrozumiałą, i wcale nas nie dziwi. Ale co nietylko dziwić ale wprost uderzać swą osobliwością musiało, to ów zapał, z jakim każdy brał cały proces do serca, starał się uczestniczyć w nim wolą i uczuciem, przeniknąć się jego atmosferą, — i nie zapomnieć, ah! przedewszystkim żadnego nie zapomnieć szczegółu! Sto tysięcy ludzi, może dwieście, może pół miljona nawet wzięło na swe ramiona piekielne brzemię odpowiedzialności za wyniki śledztwa i wraz z prokuratorem z jakąś ponurą zaciętą zapalczywością pukało do sumienia zabójcy.

I w owej chwili, w owym skupieniu mas, godzinami oblegających gmach sądowy, w dreszczu gorączki, z jaką rozchwytywano dodatek nadzwyczajny z wieścią o skazaniu przestępcy, uwydatnił się

z ogromną oczywistością niezaprzeczony rezultat długoletniej pedagogji, w jakiej masy społeczne wychowują dwaj mistrze nowocześni: Sherlock Holmes i Arsenjusz Lupin.

Istotnie, rządy ich trwają już dość długo, aby wydać owoce. Wszak rozpoczęły się zaraz po upadku rewolucji. Pięć lat — to wystarcza, aby ukształtować duszę pokolenia.

Nie myślimy wcale dowodzić, aby czytanie książek kryminalistycznych znieprawiało charaktery ludzkie; w szeregu artykułów, poświęconych rozbiorowi wpływów „literatury niemoralnej" wykazaliśmy dowodnie, że wzmożenia się instynktów zbrodniczości śród pokoleń dzisiejszych szukać należy poza literaturą w układzie stosunków społecznych, w rozbiciu rodziny, w jaskrawym kontraście bogactw i niedoli.

Podobnie jak *Quo Vadis* Sienkiewicza nie przysporzyło chrześcjaństwu ani jednego świętego męczennika, tak odwrotnie też i lektura Conan-Doyle'a prawdopodobnie nie pomnoży rubryk przestępczości.

To też nie spustoszenia moralne, ale przeraźliwe wyjałowienie umysłowe mamy na uwadze, bijąc w dzwon trwogi i ostrzeżenia, z powodu zarazy kryminalistycznej! Owo niebezpieczeństwo spustoszeń intelektualnych wydaje się nam jednocześnie niebezpieczeństwem najgroźniejszym. Dopóki żyje w człowieku i w społeczeństwie myśl, dopóki działa w nich rozum, mimo najgłębszej niedoli, możemy ufać w przyszłość i bronić się zwątpieniu, ponieważ inteligencja bywa zawsze najcudowniejszym czynnikiem odrodzenia. Do niej odwołać się możemy zawsze w imię wszelkich rzeczywistych potrzeb, istotnych interesów życia i rozwoju Najwymowniejsze uświęcenie znalazła zasada powyższa w słynnym twierdzeniu, a raczej przypowieści, o wyższości rozumu nad dobrocią a nawet nad... powodzeniem: „Lepiej z mądrym przegrać, powiada przysłowie, niż z głupim wygrać".

Ale zaraza Holmesowska jest zgubna i niebezpieczna właśnie beznadziejnym wyjaławianiem umysłu: w stanie ostrej hypnozy, ogarniającej tłumy, powoduje ona dosłowne ograbienie mózgu ze wszelkich zainteresowań, przecięcie w świadomości wszelkich nici i związków, nie będących związkiem szczwacza i zwierzyny, tropiącego i trapionego, detektywa i rzezimieszka.

Ten motyw zasadniczy, rozumie się, ulega rozmaitym odmianom, odchyleniom, powikłaniom i sposobom rozwinięcia. Typ bandyty, będącego bohaterem stałym opowieści sensacyjnych, zawdzięcza powodzenie swe fantastycznym, nieobliczalnym warunkom i przygodom, w jakie życie jego obfituje. Drogi on jest zarówno autorowi, który go stworzył jak i czytelnikom, którzy go podziwiają, dzięki temu właśnie, że będąc niczym, stojąc na dnie społeczeństwa, może stać się po kolei dygnitarzem, miljonerem, ministrem, filantropem, wedrzeć się może na szczyty fortuny i władzy. Cudaczna nieobliczalność zdarzeń i charakterów jest najrozkoszniejszą strawą dla wyobraźni prostaka, który siłę potrafi wyobrażać sobie jedynie w postaci chaotyzacji żywiołów. Prostak nie rozumie tego, że najwyższą siłę stanowi powściąganie sił rwących się w rozbieżnych kierunkach, że największą jest ta potęga, która sama siebie miarkuje.

Wobec tego, za całkiem naturalne wypadnie uznać to zjawisko, że po awanturniczych opowieściach Conan Doyle'a i Leblanca, najbardziej są u nas poczytne awanturnicze romanse Gąsiorowskiego.

Bezmyślność ich jest tak nieposzlakowana, że najgłupszy nawet pustak czytając je, zaimponować, może samemu sobie, skoro umysłowość swą zestawi z umysłowością autora. Zamiast polowania policji na bandytów oraz zasadzek bandytów na policję, mamy tu ustawiczne ucieranie się mas żołnierskich ze sobą w bitwach, które są wszystkie do siebie podobne. Obok grubijańskich trawestacji epopei Napoleońskiej, nieposrednią rolę w piśmiennictwie sensacyjnym grają motywy, zaczerpnięte z walki klas: na tym polu wyniki olśniewające osiąga u nas Anatol Krzyżanowski, który ścisłe pokrewieństwo swe z Conan-Doyle'm stwierdza tożsamością bohaterów, wprowadzając chętnie do utworów swych bandytów; to, że bandyci występują u niego w maskach socjalizmu, nie zmienia natury rzeczy: są to z krwi i kości bandyci. Skoro już mowa jest o panu Krzyżanowskim, to wspomnieć trzeba o szczególnym darze, jaki posiada: precyzyjność jego pióra jest tak wielka, że nie potrzebuje on wielu słów, gdy pisze; w dwóch-trzech wyrazach zamknąć on potrafi cały obszar swej ignorancji.

Uzupełnieniem bandytów w opowieściach sensacyjnych jest arystokracja. Jedną z tajemnic szalonego uroku sprawy zabójstwa Chrzanowskiego dla tłumu było to niezawodnie, że oskarżony o mord osobnik posiadał tytuł hrabiowski. W oczach pospólstwa, arystokracja, żyjąc po za obrębem twardych obowiązków pracy zarobkowej, uosabia ten sam żywioł swobody, nieobliczalności, kaprysu, a więc nieograniczonej podatności dla wszelkiego rodzaju przygód, wybryków, oszołomień, osobliwości i awantur, co bandyci.

To też, na drabinie sensacji, tuż pod opowieściami o rozbojach i spiskach królobójczych zajmują miejsce sceny z życia magnatów, lub jeśli można książąt i arcyksiażąt.

Utwory Weyssenhoffa, pomimo to, że pisane są z niepospolitym talentem i wysoce wybrednym zamiłowaniem smaku, które to zalety wystarczają, aby pisarza odciąć od szerokiego świata i zamknąć w ciasnym gro: ie znawców kunsztu literackiego, zbłądziły jednakże na ów szeroki rynek i osiągnęły popularność bardzo hałaśliwą tylko dzięki oświetlaniu hrabiowskich koron i książęcych miter.

Odejmijmy Weyssenhaffowi talent, lecz pozostawmy bohaterom jego mitry i korony, a — natychmiast poczytność jego wzrośnie dziesięciokrotnie.

Tam, bowiem, gdzie chodzi o dostęp do szerokiej fali tłumu, tam artyzm stanowi zawadę, a talent złą legitymację.

Nie wierzycie?

Więc spójrzcie na burzliwą orgję ciągle rosnącej sławy i powodzenia w okół pensjonarskich słowotrysków panny Heleny Mniszkówny. Jej „Ordynata Michorowskiego" znajdziecie tam, dokąd Imci pan Podfilipski ze swą wytworną ironią nie zawędruje i po dziesięciu latach. Zapytajmy ludzi światłych i obdarzonych smakiem oraz zmysłem krytycznym, czy znają powieść p. n.: „Trędowata" (Dwa tomy!) — a będą zakłopotani. Ale idźmy na prowincję, w głuche zakątwsi i miasteczek, w środowisku rzemielśniczym, w świecie szaraczków umysłowych, oficjalistów dworskich, urzędników drobnych, — znajdziemy tam rozległe i niemal bezdenne upusty dla wytwórczości Weyssenhoffów, ale Weyssenhoffów pozbawionych talentu. Tam przekonamy się o popycie tak żywym i naglącym, że niemal co pół roku nieustające zapotrzebowanie nowe powołuje edycje „Ordynatów Michorowskich" i kopje ponowne „Trędowatych".

Wkroczyliśmy niejako w koło zaczarowane, z którego niemasz wyjścia. Lektura sensacyjna wyjaławia i degraduje umysłowość ludu; nawzajem zaś ciemnota, ubóstwo duchowe i bezkrytyczność mas podnieca i powoduje, w coraz szerszych rozmiarach, niepohamowane wylewy rozpusty intelektualnej, bezmyślności i zniepravienia rozumu.

Jakże tedy z tego przeklętego koła się wyłamać, skoro wszyscy do głębi sumień przeświadczeni jesteśmy, że wyłamać się trzeba? Jaki znaleźć ratunek, jakie środki zaradcze?

(d. n.) *J. Tarczewski.*

*Ludwik Stanisław Liciński*: **Halucynacje**. Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1911.

Liciński wśród pisarzy lat ostatnich zajmuje miejsce odrębne. Wylała się z niego lawa wulkaniczna oburzenia na ustrój społeczny, krzywdy wydziedziczonych, martwotę i szpetność uprzywilejowanych. W porównaniu z innymi, którzy również dotykali tych spraw, jest on szorstki, brutalny, nieokiełznany. Tamci podrwiwają ostrożnie, w ubraniu balowym, z dobrym wychowaniem, a nieraz wyrachowaniem, on staje rozkraczony, rubaszny, parskający zjadliwym śmiechem, pełen jadu szyderstwa, nieprzejednany, niepomny na przyzwoitość ani dobry ton Leje się z niego żółć. Poczucie goryczy rozpiera go, daje mu siłę waleczną. Plwa i bluzga naokół. Jeszcze filister nie zdążył otrzeć śliny, już ma nową plwocinę na twarzy. Jest to pisarz zaprawdę źle wychowany i posiada wszystkie cenne zalety, płynące z takiego stanu rzeczy: brak wszelkiej układności i dyplomacji, odwagę, otwarte szyderstwo dla wszelkiej obłudy; rzetelne grubjaństwo dla wszelkiej prześlizgującej się i przemycającej pod pozorem zwyczaju, tradycji lub artystycznego ułożenia — nikczemności. Ma on niewyczerpany temperament bojownika i zaciętą nieufność względem wszystkiego, co się wydarło na wierzch i stanęło na poziomie bogactwa, a żywe serce i nieskończenie tkliwe łzy dla wszystkiego, co zdeptane, co cierpi, znękane z winy własnej czy cudzej. Wśród chwastów społecznych, które inni przeznaczają tylko do wypielenia, odnajduje on ukrytą czystą ludzkość, jakiej niema już w piersi wybrańców Fortuny. Pod tym względem ma Liciński szczęśliwy instynkt prawdziwych twórców, którzy nie biją pokłonów przed fałszywymi bożyszczami i widzą nieraz światło nad czołami tych, których społeczeństwo spycha w mrok i kajdany.

Jako artysta żył i tworzył Liciński w warunkach cierpkich i niepodatnych. Biedny, samotny, pełen gorącego nieukoju, ocierać się on musiał nieustannie o pychę i formułkowość tych, którzy w każdym spokojnym społeczeństwie tworzą marudną warstwę „dobrych obywateli". Lecz on rozpaczliwie, paroksyzmowo nie znosił duchowego marudziarstwa, formułek bez znaczenia, epitetów bez serca, okrzyków emfatycznych, lecz nigdy nie urzeczywistnianych, skostniałych symbolów, ciepłych amuletów. Był to duch płynny, palący i pałający pragnieniem przybierania form coraz to nowych, dotąd przez ludzi nienadużytych. Nieuchronne stykanie się z martwotą społeczną było dla niezmiernie wrażliwej natury Licińskiego prawdziwą a ciągle odnawianą katastrofą. Pewność nieuchronnej a rychłej śmierci oraz poczucie rozpaczliwego oburzenia, iż życie osaczone jest i spętane przez parodję człowieka, dały Licińskiemu impuls gorączkowy i pewną jednostajność w przeżywaniu. Filister wprawiał go w osłupienie i był tą tamą, o którą w rozpaczliwym przedrażnieniu rozbijały się aż do końca twórcze zapędy Licińskiego Podzielił on swą duszę: tkliwość i świeżość serca oddał nieszczęśliwym, gniew zwrócił ku tym, co nadewszystko przenieśli nieruchomość i wygodę. Lecz przez to właśnie, przez owo przedrażnienie chroniczne, nie miał dość czasu ani siły, aby się rozejrzeć po świecie uważniej, szerzej, swobodniej, aby się głębiej wsłuchać w odgłosy życia, aby niejedno sprawdzić uporczywą rozwagą. Mimo to w swych „Z pamiętnika Włóczęgi" i na niektórych stronicach „Halucynacji" dał Liciński karty pełne siły i stylowego mistrzowstwa. W jego „Halucynacjach" cisną się szeregi wydziedziczonych, szaleją prostytutki i rzezimieszki, miota ich ordynarna rozpusta, krzyczą krzywdy, obnaża się obłuda i zgnilizna.

Liciński jako charakter ze swą pogardą rutyny, salonu, konwersacji i wszelkiego glansowanego zdręt wienia przed czasem — godzien jest zachwytu. Lecz jako artysta — umarł przedwcześnie. Umarł w godzinie młodzieńczego uniesienia, kiedy na usta ciśnie się zbyt wiele uczuć gwałtownych i wszystkie chcą krzyczeć razem, mądrość dojrzalsza czeka na uboczu, a serce ludzkie nie czerpie jeszcze ze swych źródeł najgłębszych.

*Leon Choromański.*

# NA DOBIE.

## Kto winien?

(O tramwajach i prasie słów kilka).

Drożyzna dała się wszystkim we znaki. Wślad za skargami słyszeć się dają rady. Ów radzi zmienić ustrój społeczny, inny wini spekulantów, inny jeszcze każe założyć ręce i czekać. Niewątpliwie, na klęskę drożyzny złożył się też cały szereg czynników ogólnych i od nas niezależnych. Ale obok tych przyczyn ogólnych istnieją jeszcze pewne specjalne i miejscowe powody, sprawiające, że np. pobyt w Warszawie dla rodzin niezamożnych równa się piekielnej udręce.

Bo można zgodzić się na to, że najogólniejszą przyczyną drożyzny jest spadek wartości złota w Europie, a przyczyną bezpośrednią — tegoroczna susza.

Dolegliwości te dzielimy z całym światem. Ale co już jest bezsprzecznie i specyficznie naszym udziałem — to niesłychana drożyzna mieszkań.

Stanowi ona zjawisko zupełnie odrębne, oparte na szeregu przyczyn lokalnych.

Posucha zdarza się raz na kilkanaście lat; ceny produktów można zawsze obniżyć przez hurtowe zakupy i związki współdzielcze. Ale co począć z trapiącą nas ciągle drożyzną mieszkań, która pochłania lwią część naszego zarobku? Czemu to mieszkaniec Warszawy płaci dwa i trzy razy drożej od berlińczyka i paryżanina za prawo mieszkania w rentowej kamienicy z oknami na ciemną studnię, zwaną podwórzem?

Któż to spędza nas kupą w zgiełkliwe, duszne śródmieście i zmusza gnieździć się w sposób najniewygodniejszy po 200 i 300 osób pod jednym dachem?

— *Brak komunikacji podmiejskich*—brzmi obojętna odpowiedź.

— Więc zróbcie nowe komunikacje, niech ludność zamieszka okolice, gdzie miejsca przecież nie zbraknie; wszak będzie to dla kroci tysięcy ulgą niezmierną!

— Nie można. Spółka tramwajowa nie pozwala!

Tak jest. To bardzo proste. Warszawska spółka tramwajowa ma w ręku monopol, wyłączne prawo budowy i eksploatacji sieci kolei miejskich, zadanie, któremu wyraźnie podołać nie może o własnych siłach, ale też nie pozwala, by je podjął ktoś inny.

Wytwarza się taki stan rzeczy: monopol zapewnia spółce kraciowe zyski bez nakładów pracy, kosztów, inicjatywy. Istniejąca sieć tramwajów jest trzy razy mniejsza, niż być powinna, ale obsługuje najludniejsze dzielnice i opłaca się sowicie. Ludność naszego miasta, niedość że napycha złotem kieszenie spółki, jeszcze *przepłaca* rok rocznie kilka miljonów rubli za mieszkania w śródmieściu, bo mieszkać pod miastem — nie może!

Kogo to cieszy? Czterech magnatów. A kogo krzywdzi? Kilka kroć sto tysięcy osób.

Wina warszawskiej spółki tramwajowej niczym usprawiedliwić się nie da, bo i na co powołać się mogą ci ludzie, gdy ich wezwać przed sąd opinji? Na „układ prawny z magistratem".

Magistrat — i układ prawny! *Allons donc*! W dodatku, ten układ nakazuje powiększyć sieć tramwajową, więc Spółka złamała umowę, bo nie dotrzymała formalnych zobowiązań na korzyść miasta, a na swo-

ją korzyść wyzyskała wszystkie przywileje: nawet nieliczne omnibusy z Żelaznej Bramy na Pragę kłuły ją w oczy, to też kazała je skasować, by zmusić nędzarzy do płacenia kilku kopiejek więcej. I teraz właśnie zamierza warszawska spółka obdarzyć prowincję tym samym dobrodziejstwem. Lublinie! Częstochowo! Sosnowcu! strzeżcie się, bo myśmy się nie ustrzegli...

Nas nikt coprawda nie ostrzegał, a najmniej prasa warszawska.

Ach, ta warszawska prasa! Z jakim zapałem, z jaką gotowością bierze ona udział w toczącej się wojnie włosko-tureckiej! Z jak serdecznym i żywym współczuciem zwraca wzrok swój ku brzegom Afryki i Dalmacji! Jak mężnie i szlachetnie broni „prawa własności" Turków, a jak wymownie uzasadnia „prawa mocy" Włochów!..

A w sprawie drożyzny mieszkań warszawskich, braku tramwajów podmiejskich i nadużyć sławetnej spółki — jak oględnie i dyskretnie milczy!

Niejeden z odbiorców tej prasy myślał zapewne z goryczą, że sprawy najbardziej egzotyczne wymownych mają w niej referentów, ale jego własne krzywdy, dolegliwości, pragnienia — żadnego nie znajdują echa. Weźmy przykład. Warszawa dusi się. Trzeba jej miejsca, tchu, przestrzeni. Tymczasem spółka tramwajowa zarzuca jej poprostu stryczek na szyję i zaciska węzeł. Prasa widzi to — i milczy.

— Dlaczego? — snują się różne domysły — Czyżby red. X aż tak cenił wytworną kuchnię i dobre cygara królów tramwajowych? Skądinąd zresztą wiadomo, że red. Y, właściciel „tłoczni narodowej" ma przywilej drukowania biletów, a red. Z dostaje ich, ile zechce... Stąd zapewne niezmącona płynie harmonja; kto ją zakłóci?

Uczynić to może tylko pismo niezależne, bez kagańca, bez wpływów pokątnych, bez kultu cichej wzajemności, stojące rzeczywiście na straży interesów ogółu i gotowe tę misję spełniać należycie.

Powinno ono podjąć metodyczną, wytrwałą kampanję przeciw trustowi tramwajów warszawskich, powinno przypomnieć spółce książęcej, że instytucje miejskie nie po to są, by magnatów wzbogacać, lecz by wygodzie publicznej służyć.

Organ prasy, który to zadanie podejmie, spełni wielki czyn obywatelski i zaskarbi sobie na długie lata popularność i wdzięczność miljona ludzi, zdanych dziś na łaskę i niełaskę potężnej koalicji zdzierców.

## Polacy amerykańscy wobec Rzymu.

Niedawno *The Extension Magazine*, organ misji katolickich w Ameryce Północnej zauważył, że liczba katolików w tym kraju bynajmniej nie rośnie i wskutek tego uderzył na alarm:

„Czy kościół katolicki traci dusze w Stanach Zjednoczonych? Tak, traci, i to tyle, że gdyby odpowiedzialność za to złożyć na nas wszystkich, każdy przeraziłby się swym udziałem w fakcie tak smutnym".

Smutnym faktem zajęła się z kolei *Corrispondenza Romana*, urzędowy organ Watykanu i takie wysnuła wnioski:

1) „Nie należy się łudzić, jakkolwiek statystyki wykazują wzrost katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych dzięki imigracji trzech narodów katolickich (Polaków, Irlandczyków i Włochów), to jednak niepodobna zaprzeczyć, że kościół ponosi tam straty. Liczba katolików mianowicie, jaka figuruje w statystykach, jest o wiele niższą od liczby, którą katolicy Stanów Zjednoczonych stanowićby winni (ludność miejscowa łącznie z napływową). Corocznie, niestety, wielki wyłom w szeregach kakolickich robi koalicja schyzmy, protestantyzmu i bezbożnego antyklerykalizmu.

2) Jest wielce pożądanym, by katolicy europejscy (zwłaszcza kler i najbardziej w tym zainteresowani Irlandczycy, Polacy i Włosi) ułatwili swym braciom w Stanach Zjednoczonych trudne zadania ratowania dusz przybywających na ląd amerykański emigrantów."

Zatym obowiązek ratowania *bussines'u* watykańskiego zwalono na barki trzech najbiedniejszych i najnieszczęśliwszych narodów, z których dwa (Polacy i Irlandczycy) pozbawione samodzielności politycznej i nękane wszelkiemi klęskami — powinny chyba doczesną, narodową i kulturalną stronę własnego bytu mieć na uwadze.

Tymczasem faktem jest niezaprzeczonym, że katolicyzm w St. Zjednoczonych trzyma się na „ajryskich" (irlandzkich) i polskich przybyszach, przyczym ci ostatni krzywdzeni są systematycznie na korzyść cudzoziemskich dostojników Kościoła. Jak wiadomo, w St. Zjednoczonych istnieje oddawna rozdział Kościoła i Państwa, na co Watykan bynajmniej się nie żali. Dlaczego? Ponieważ, dzięki niejasnej klauzuli prawa, kler katolicki zagarnia na własność wszystkie dobra kościelne i dochody parafialne. Że zaś biedny nasz lud, wzorem dalekiej ojczyzny, przywykł mieszać naiwnie narodowość z religją, przeto lwią część narodowo-kulturalnego dorobku wespół z krwawo zapracowanym groszem — zgarnia kler, złożony u szczytu hierarchji z dostojników „ajryskich" i germańskich. Wszelki opór ze strony Polaków gromiony jest z ambon jako bezbożny bunt i herezja; niedawno pewien biskup—Niemiec wyklął całą prasę polską opozycyjną za jej stanowisko względem duchowieństwa. Ten stan rzeczy poruszył w końcu najbardziej leniwe, bierne i tępe umysły; dzięki brutalnej taktyce i nienasyconej chciwości pomienionych pasterzy, zbudził się nareszcie krytycyzm wśród Polonji amerykańskiej, o której pisał Nowaczyński:

> Za Oceanem że jest Polska Młoda
> Cieszyłbym ja się, gdyby mi na nice
> Nie psuło szczęścia to, że w Ameryce
> Sześćset kościołów wzniosła! Szkoda
> Dolarów! I to starej Polski moda!
> Nawet tam z owsa trud zrobić pszenicę.

Wreszcie i tam przebrała się miara cierpliwości naszego ludu, jakie zaś są powody niezadowolenia wskazuje głos potulnego i bynajmniej nie postępowego *Dziennika dla Wszystkich*, który pisze:

„Już my Polacy mamy za swoje z naszymi ajryskimi i niemieckimi dostojnikami kościoła. Nie dosyć, że nam zabrali wszelką własność parafjalną, nie dosyć, że się z ludem polskim kłócą o każdą znajdującą się na niej deskę i cegiełkę, nie dosyć, że popchnęli tysiące ludu polskiego w objęcia schyzmy jedynie z przyczyn doczesnych, materjalnych (mowa tu o Polsko-Narodowym kościele. *Przyp. R*) i w najnowszym czasie niektórzy z nich chcieliby uzależnić od siebie nasz lud także pod względem prywatno-ekonomicznym i duchowym".

Ostatnio walka wybuchła w Pensylwanji na tle stosunków parafialnych. I tu obcy biskupi — w myśl zresztą ogólnej polityki Watykanu — zagarniać chcą gmachy i grunta parafialne, nabyte ze składek kolonistów polskich. Dostojnicy kościelni żądają poprostu, żeby cały majątek parafialny przepisać na ich nazwisko. Tym razem napotkali na opór stanowczy. Górnicy polscy w Pensylwanji — a jest ich krocie tysięcy — nietylko nie chcą przystać na powyższe tranzakcje, ale wogóle odwracać się poczynają od irlandzkich i niemieckich biskupów, żądając narodowych djecezji, zamiast terytorjalnych. Stąd zaś krok jeden do idei *Kościoła narodowego polskiego*, który by był zupełnie wolny od kosmopolitycznej rzymskiej przemocy. Oto co pisze w tej sprawie katolicki korespondent *Słowa Polskiego* we Lwowie:

— „Zagraża tu również inne niebezpieczeństwo. Pensylwanja jest głównym siedliskiem „kościoła naro-

dowego", założonego przez ks. Hodura. Kościół narodowy rozwijał się dotychczas niezbyt pomyślnie dzięki temu, że lud polski nie chciał iść w ślady odszczepieńca od Rzymu. Mimo to, dzięki swym zasadom, w których propaguje nienawiść do obcych biskupów amerykańskich, ubóstwo kapłanów, dzięki wreszcie temu, że wprowadza do liturgji język polski, liczy poważną liczbę wyznawców i posiada kilkanaście parafji. Kościół Hodura wywierał, mimo swych szczupłych środków a tylko dzięki swemu istnieniu, wielki wpływ na życie Polaków amerykańskich. Kiedy w 1901 roku były próby zaprowadzenia angielskiego języka w polskich kościołach, protesty polskich parafjan znalazły posłuch tylko wskutek obawy, że wielu katolików przejdzie do kościoła narodowego. Wogóle kościół Hodura stoi na straży polskości w kościele katolickim. Dziś, kiedy w Pensylwanji lud polski napróżno kołacze o sprawiedliwość do wrót władzy kościelnej, kościół narodowy może urość w potęgę.

Niebezpieczeństwo istnieje poważne." (*sic*)

Tak stoją dzisiaj sprawy kościelne w Ameryce. Dopiero, gdy ludowa i świecka kultura polska pozbędzie się ciasnych powijaków rzymskich i o własnej stanie mocy — wówczas dopiero będziemy mogli z chlubą i nadzieją spoglądać ku tej *Nowej Polsce* zaatlantyckiej, która w umysłach endeckich dziennikarzy jawi się narazie jako „groźne niebezpieczeństwo".

### Warszawscy czciciele fetyszów.

Zabór dwóch prowincji tureckich przez Włochy dziwną wlał otuchę w serca „narodowo-demokratyczne". Niema prawie dnia, żeby ktoś w *Gazecie Warszawskiej* nie stawiał nam na wzór współczesnych włoskich polityków, cierpkie zarazem kierując zarzuty w stronę tych, co niedość wielki okazują zapał i gotowość do podbojów, zaborów, okupacji Dalibóg, czytając pełne bojowej tężyzny artykuły *Gazety Warszawskiej* można przypuścić, że Królestwo Polskie zamierza oderwać kilka żyznych prowincji od krajów ościennych i zawczasu pragnie ten akt przemocy usprawiedliwić szeregiem przykładów i danych teoretycznych.

Szczególne w tym kierunki wysiłki czyni niejaki p. Skiba, któremu wawrzyny włoskich admirałów poprostu nie dają spać. Więc robi p. Skiba takie uwagi:

„Wszak Turcja ma niewątpliwie zupełne prawo do tego, by bez jej zgody nie odrywano od niej terytorjów.

A jednak mimo tych „praw" niezaprzeczonych Japończycy zabierają Koreę, Francuzi Marokko, a Włosi Tripolis, dlatego jedynie, że leży to w ich interesie, i że mają dostateczną „moc" by to uczynić i że mają do czynienia ze słabymi, którzy oprzeć się nie mogą.

I wszystko to dokonywa się za milczącą zgodą Europy, która toleruje te wszystkie „zbrodnie".

A my nie widzimy tego „wielkiego prawidła", które się ujawnia we współczesnym życiu politycznym i zapewne przez wieki jeszcze ujawniać się będzie,

Czas doprawdy spojrzeć w oczy rzeczywistości jeśli się chce żyć".

Co to jest? zapyta bezstronny czytelnik.—Próba rehabilitacji rugów i wywłaszczeń w Wielkopolsce? Czy może chęć uprzejma pomocy teoretycznej pisarzom z *Nowego Wremieni*, którym argumentów nie stało na rzecz wyodrębnionej Chełmszczyzny?

Nie — to jest poprostu tępy i ślepy fetyszyzm, kult „silnej pięści" bez względu na to, że opuszcza się ona raz po raz na nasze zbolałe plecy. P. Skiba nie wzniósł się ponad umysłowość pewnych plemion murzyńskich z nad Nilu, które tuczą mięsem własnym stada żarłocznych krokodylów, zarazem składającim cześć religijną w zabobonnej trwodze.

Posuńmy dalej tę analogję. Gdyby pewnego dnia zgłosił się do tych murzynów człowiek wolnomyślny i postępowy i litując się nad ich stanem, zapragnął wyleczyć ich z barbarzyńskiego kultu krokodylów ludojadów — to ten niefortunny orędownik spotkałby się napewno z bardzo nieżyczliwym przyjęciem. Dotknięci w „najświętszych swoich wierzeniach" murzyni, stojąc w obronie „tradycji narodowych" mimo, że dają im się one dotkliwie we znaki, rozniosą go na dzidach i nożach, poczym złożą dzęki żarłocznym swoim fetyszom za odparcie niebezpiecznych pokus.

Nie inaczej poczyna sobie p. Skiba. Gdy na świecie narody kulturalne, stojące na szczycie potęgi i chwały, jak np. społeczeństwa anglo-saskie, krzątać się poczynają koło unormowania współżycia państw i ludów na nowych zasadach prawa publicznego — p. Skiba z Warszawy, w oficynie endeckiej *Gazety* wszczyna wrzaskliwy protest:

— Nie trzeba żadnej sprawiedliwości! Kto się skarży na „zbrodnie" w polityce? Niema żadnych zbrodni! Wszystko to baśnie. Zabór, gwałt, ucisk, wynaradawianie — „wynika z konieczności życiowych i jest warunkiem bytu narodu". Obecne stosunki polityczne, oparte na rozboju — to „instynkt życia!" Zaś ci wszyscy, co tego instynktu nie wielbią i nie błogosławią wraz z nami — to są wstrętni „mieszczańscy" humanitaryści, niezdrowi jacyś „doktrynerzy!" Jest to gatunek ludzi niezmiernie szkodliwych, to też całe szczęście, że nie oni rządzą dziś światem, jeno prawdziwi nasi przyjaciele, głosiciele prawd w duchu *Gazety Warszawskiej*—a więc Macchiavelli, Bismark, Stołypin, Mienszyków lub Aleksiejew.

## Z PRASY.

# Z prasy polskiej.

* *Drożyzna.* Nigdzie nie może na świecie całym ludność nie jest tak jak u nas doszczętnie wyzuta ze środków organizacji społecznej, nigdzie tak bezbronna, z gołymi rękami, nie staje do walki z drożyzną. Klasy wyższe i zamożniejsze zasklepione w ciasnym egoistycznym poczuciu swoich interesów, lud robotniczy zahukany i ciemny, naprzemian imający się żywiołowych buntów to znów cierpliwej apatji, warstwy średnie słabe i nieliczne, a nad nimi biurokracja w najlepszym razie obojętna— oto dzisiejsze nasze konjunktury w nieunikninonej walce z nędzą. W tych warunkach społeczeństwo polskie powinno czymprędzej otrząsnąć się z nałogów i uprzedzeń i wejść na drogę śpiesznej organizacji samopomocy gospodarczej, na co wskazuje miesięcznik *Kultura Polska* w tych słowach:

> Może nigdy oczywiściej, niż właśnie w latach drogiego życia, nie wykazuje się wartość kooperatywy. Ten rok więc powinien dla Warszawy być lekcją i pobudką do zakładania stowarzyszeń spółdzielczych. Jest to zjawiskiem wprost niepojętym, ażeby miasto blisko miljonowe, mające nawet od kilkudziesięciu lat znakomicie pomyślaną organizację tego rodzaju (Merkury), nie mogło utrzymać pomyślnie ani jednej kooperatywy. Tego dziwa niepodobna objaśnić sobie inaczej, tylko naszą wrodzoną niezdolnością do tworzenia zrzeszeń. Tymczasem życie ciągle stawia nam przed oczyma smutne następstwa proszkowania społecznego, krzyczy, przekonywa, dowodzi — dotąd daremnie. I ten lud roboczy, który dziś drży przed widmem drożyzny, spokojniej by jej oczekiwał, gdyby był obwarowany stowarzyszeniami spożywczymi Zamiast nich będzie miał do przetrzymania głodu straszną wytrwałość i garść frazesów agitatorskich, odciągających go od tego „burżujskiego" pomysłu.

* Według *Słowa* właściwych przyczyn drożyzny szukać należy głębiej, w treści dzisiejszego ustroju i w raptownym zmniejszeniu wartości złota co nie zależy bynajmniej od złej woli pośredników i od stopnia niezaradności społecznej. Organ więc realistów powołuje się na cały szereg ciekawych zjawisk w dziejach ekonomji politycznej, z których następujące godne są uwagi:

> Ponieważ wszelkie formy kredytu likwidują się ostatecznie na brzęczącą monetę, przeto już od lat dawnych tak zwana teorja kwantytatywna ustaliła, że wysokość cen zależy w; rost, a to przedewszystk'm obok innych przyczyn (wzrostu ludności, rozwoju środków kredytowych, szybkości przewozu) od ilości w obiegu będącej monety brzęczącej lub znaków obiegowych z pierwszą równoznacznych
>
> Historja świata jest zresztą tego wymownym dowodem Przed odkryciem Ameryki poziom cen był nieskończenie niższy, gdy tymczasem od czasu przypływu skarbów nowego świata wlały się miljardy złota do Europy.
>
> Edward III, król angielski, zwycięzca Francuzów pod Crecy i Poitiers, daje swej córce w posagu w 14-ym wieku rentę roczną 2,700 franków, a Ludwik Święty, król Francuzów, ustanawia córce posag z 114,000 franków. Mennica angielska, najbogatsza naówczas, bije zaledwie 175,000 franków rocznie.
>
> Ceny są też odpowiednio nizkie.
>
> Tuczny kapłon płacony był w 1501 r. w Paryżu 4 sous (16 kopiejek', kwarta wina 4 centymy (1 i pół kop.), funt świec kosztował 1 sous (4 kop.), hektolitr pszenicy płacony był 28 gram srebra (co odpowiada na nasz korzec cenie 80—85 kop.)
>
> Natychmiast po odkryciu Ameryki ceny zwiększają się cztery i więcej razy: kapłon płaci się 16 sous, wino 16 centymów, świece 7 sous, zboże 124 grame.
>
> Po roku 1850 fenomen dopływu złota i srebra powtórzył się w skali nieskończenie większej.
>
> Oto cyfry z urzędowego raportu ministerstwa finansów francuskiego za r. 1908:
>
> Według niektórych danych z przed XV-go wieku w Europie nie było więcej, jak jeden miljard franków złota i srebra razem.
>
> Po odkryciu Ameryki do r. 1850 przez lat 358 kopalnie złota dały $16^3/_{10}$ miljardów, a kopalnie srebra $33^2/_{10}$ miljardów franków. Od r. 1850, t. j. od odkrycia kopalni kalifornijskich do r. 1875 wydobyto złota $16^4/_{10}$ miljardów franków, a srebra $6^9/_{10}$ miljardów franków.
>
> Wreszcie od 1875 do r. 1908 produkcja coroczna, ciągle stale się zwiększająca, dała złota $31^8/_{10}$ miljardów, srebra $28^4/_{10}$ miljardów franków.
>
> Gdy w XVI-ym wieku wydobywano rocznie nie więcej, jak 80 miljonów franków — to w latach 1901 do 1907 produkcja coroczna złota i srebra razem wzrosła do 2,900 miljonów franków.
>
> Gdy złota samego wydobyto jeszcze w roku 1901 za 1,352 miljony fr., to w r. 1907 kopalnie wydały 2,100 miljon Ilość metalów drogich, wydobytych od 1800 do naszych czasów, przewyższa zatym tę, jaką otrzymała ludzkość od natury, licząc od początku świata.
>
> Zrozumieć prawie trudno, w jaki sposób społeczeństwo mogło przyjąć w tak krótkim czasie i spożytkować taką ilość środków, ułatwiających jego tranzakcję.
>
> Zeszło się to jednak w sposób szczególny z rozkwitem wynalazków technicznych, rozwojem kolei, żeglugi parowej, towarzystw akcyjnych i t. p.
>
> W każdym razie poziom cen wzniósł się niepomiernie równie na dobra nieruchome, jak i na ruchomości.

* W sprawie drożyzny zabrał też głos lwowski tygodnik *Odrodzenie*, czasopismo, poświęcone sprawom współdzielczym, przemysłowym i ogólno ekonomicznym pod redakcją Edwarda Milewskiego. Badając socjalny charakter przyczyn drożyzny, dochodzi *Odrodzenie* do takich wniosków:

> Usunąć drożyznę w całej pełni mogłoby tylko całkowite przebudowanie współczesnego ustroju, integralna przemiana całego aparatu produkcji, wymiany i konsumcji współczesnej, ujęcie całego systemu ekonomicznego w formy sprawiedliwego, społecznego ekonomizmu — w kształty kooperacji.
>
> Gdybyśmy posiadali ustrój kooperatystyczny, w którymby cała produkcja i wymiana podporządkowane były konsumcji, posiadalibyśmy z jednej strony stale uregulowany stosunek pomiędzy zapotrzebowaniem a produkcją i nie mielibyśmy na rynkach braku mięsa, nabiału, zboża i innych produktów, a z drugiej strony — płacilibyśmy za towar tyle, ile wynoszą istotne koszta jego wytwarzania z dodatkiem kosztów wymiany i pewnej nadwyżki na rzecz funduszów inwestycyjno-przemysłowych i kulturalno-społecznych, mających na celu dalsze dźwiganie przemysłu współdzielczego i kultury krajowej. Gdybyśmy posiadali ustrój kooperatystyczny, usunięteby zostało pośrednictwo i zniknął dzisiejszy wampiryzm cen. Jasne jest, że skoro się sytuację obecną rozpatrzy ze stanowiska ekonomicznego ustroju przyszłości, w który niezawodnie wcześniej, albo później przeistoczy się nasz wadliwy ustrój współczesny, to okaże się, że istotna przyczyna drożyzny tkwi właśnie w podkładzie dzisiejszych stosunków socjalnych, w istnieniu pośrednictwa, w legalnym wykonywaniu korsarstwa handlowego.
>
> Niewola ta będzie się stawać lżejszą w miarę narastania nowego ustroju socjalnego, opartego na kooperacji. Zasadą tego ustroju jest, jak wiadomo, organizacja konsumcji za pomocą sfederowanych ze sobą zrzeszeń współdzielczych oraz podporządkowanie produkcji, kredytu, finansów i całej wogóle gospodarki i państwowości interesom konsumentów, to znaczy interesom całego społeczeństwa, konsumentami bowiem są wszyscy ludzie. Oznacza to również zniesienie pośrednictwa, uspołecznienie wymiany i produkcji, unarodowienie ziemi i oddanie uprawy rolnej sfederowanym ze sobą kooperatywom robotników rolnych. Odnośnie zaś do kapitału finansowego, który dziś jest autokratycznym panem gospodarstwa narodów, oznacza to zupełne przeistoczenie jego praw i roli. Ma on zostać sługą potrzeb społecznych, ma być środkiem — nie zaś, jak dzisiaj, narzędziem wyzysku i jarzma.
>
> Kooperatystyczne budowanie nowego socjalnego ustroju rozpoczęło się już dawno we wszystkich społeczeństwach. Myśmy, jak zwykle, w tyle za narodami. Ale i nam już coraz bardziej przykrzy się maruderstwo i ariergarda. To też dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, poprzysiądz należy wierną służbę w imię przyszłego zwycięztwa.

* *Denuncjanci.* Niedawno skonfiskowano w Krakowie tom nowel hr. Wielopolskiej, która stanęła pod sądem pod zarzutem obrazy religji. Na sądzie mimo drzwi zamkniętych, wyszło na jaw, że sprawę wszczęto wskutek doniesienia konsystorza biskupiego w Przemyślu gdzie na stolcu biskupim zasiada ksiądz *Pelczar*, organizator pobożnych kongresów marjańskich.

Z tego powodu pisze *Myśl Niepodległa*:

> Wiadoma to rzecz, że duchowieństwo katolickie nie może już nam niczym imponować, ani inteligencją, ani cnotą, ani obyczajnością. Największe i najnikczemniejsze zbrodnie lat ostatnich, jak bratobójstwa, świętokradztwa, profanacje świątyń przez schadzki miłosne, grabienie wotów, trwonienie pieniędzy pątników, uwodzenie dziewczynek w czasie przygotowywania ich do pierwszej spowiedzi i komunji — oto ów odor sanctitatis, który rozchodzi się od duchowieństwa katolickiego po Polsce i po Europie. Cóż pozostało temu duchowieństwu, jak apelacja do ramienia świeckiego przeciwko tym, którzy ośmielili się te zbrodnie ich wyjawiać i piętnować?
>
> Powiew Myśli Wolnej poszedł już po Polsce i nie wstrzymają go swymi infałami i kapami księża biskupi z konsystorzem przemyskim na czele. Walka się rozpoczęła, panowie księża, a koniec jej wiadomy. W tej walce my stracimy nasze więzy, wy cześć i byt. Wy to wiecie doskonale, dlatego stawiacie już wszystko na jedną kartę. Jak moralni bankruci, dawno zrzekliście się walki na idee; zakasaliście rękawy waszych szat pontyfikalnych i rozpoczynacie walkę na pięści.

My na takim polu walki nie przyjmiemy, ale przyjęliśmy ją dawno na tym, na którym oglądać możemy już tylko wasze plecy. Wszczęliśmy ją na polu piśmiennictwa, a wam poprostu brak w szeregach inteligencji, wiedzy, talentów i sumień; na nasze dowody możecie odpowiadać tylko kłamstwami i wymysłami. To też świat widzi nielada widowisko, gdy święte baranki rzekomo ewangielicznej pokory i cichośc i przemieniają się w rozjuszonych brytanów.

Już blizki jest czas, kiedy staniecie się pośmiewiskiem przechodniów, jak dziś już są miasta i kraje, w których władze policyjne nie pozwalają wam ukazywać się inaczej, jak w szatach ludzi świeckich.

Bylibyśmy śmieszni, gdybyśmy wzywali was do posługiwania się w walce z nami bronią uczciwą i szlachetną. Wiemy nawet, iż wy cynicznie wyzyskacie fakt, iż my tylko taką bronią z wami walczymy. Ale właściwie my wcale z wami nie walczymy nawet. My nie zgadzamy się tylko z obskurantyzmem, z którego żyjecie. Gdy jego w kraju zbraknie, wy sami wyniesiecie się dla braku żeru.

* *Nowe Pisma.* W Hrubieszowie ukazał się pierwszy Nr. dwutygodnika p. t. *Rolnik Hrubieszowski* i pod redakcją p. B. Janiszewskiego.

Ukazał się w Warszawie Nr. pierwszy wznowionej *Kroniki Rodzinnej* pod redakcją ks. M. Godlewskiego. *Kronika* hołduje ideałom wybitnie klerykalnym. W Siedlcach zaczął wychodzić tygodnik wolnomyślny p. t. *Głos Prawdy.*

# Z prasy rosyjskiej.

* *Rozkład „ochrany".* W półurzędowym organie wydziału ochrany *Russkoje Znamia* ukazał się artykuł p. Bodrego, zasługujący na uwagę ze względu na swą szczerość. P. Bodryj, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, nie jest bynajmiej tchórzem, stawia kropki nad *i*, i mówi wszystko do końca. Podkreśla on „bardzo realne niebezpieczeństwo", jakie dałoby się odczuć, gdyby rewizja senatora Trusiewicza doprowadziła do generalnego oczyszczenia wydziałów ochrany.

P. Bodryj gotów jest uznać winę urzędników ochrany, ale — ostrzega — „jeśli my dziś nastraszymy i rozpędzimy całą ochranę",. to... „panowie u steru władzy, wy zaraz jutro zostaniecie pozabijani od kul rewolwerowych lub bomb", (*Russkoje Znamia* Nr. 211).

W innym miejscu swego artykułu p. Bodryj wypowiada się jeszcze jaśniej: „Nie jest rzeczą trudną wypędzić kogoś ze służby, pozostawić bez kawałka chleba. Ale czy jest to rzeczą sprawiedliwą?... Niejednego człowieka taka niesprawiedliwość mogłaby skłonić do przerzucenia się na stronę terorystów i do ujawnienia wobec nich tajemnic ochrany. Jeśli zaś wypędzić w ten sposób setki ludzi z ochrany, to czy nie będzie się to równało odesłaniu połowy z nich do obozu rewolucjonistów?".

„Na to właśnie — czyni od siebie uwagę *Riecz* — wskazywała zawsze prasa postępowa. Członek ochrany bez pracy jest już rewolucjonistą, ażeby zaś urzędnicy ochrany mieli robotę, konieczne jest istnienie przestępstw terorystycznych. Jedno jest ściśle związane z drugim, a potwierdzenie ze strony kompetentnego znawcy, p. Bodrego, zasługuje na baczną uwagę.

Ostatnie wypadki wskazują, że „ochrana" stała się istnym państwem w państwie. Tak rzeczywiście nazywa ją *Utro Rossii* (p. Nr. 220) w artykule pana T. Ardowa. Artykuł ów tak jędrnie ujmuje zasadnicze niedobory państwowości rosyjskiej, iż zapewne z szeroką spotka się dyskusją na łamach prasy swego kraju.

„Zastanówmy się, czytamy tam, nad chwilą obecną, a pojąć będziemy musieli całą grozę owej tragicznej niedorzeczności: w Rosji istnieje, jako państwo w państwie, — tak, ; dosłownie, jako państwo w państwie, grono osób, działających poza obrębem prawa i obdarzonych władzą nad życiem i śmiercią każdego obywatela kraju, — od zwykłego śmiertelnika do dostojników państwowych, zajmujących stanowiska naczelne w hierarchji urzędniczej. Tę władzę wywiera ono oddawna, trzymając Rosję pod ustawiczną grozą teroru, zabijając dygnitarzy państwa w celu dokonania olbrzymiego szantażu, ażeby, mianowicie, wyciągnąć od państwa pieniądze za ochronę urzędników wyższych przed zamachami terorystów; wyłudzając zaś pieniądze za ochronę przed terorystami, jednocześnie wciąga ona terorystów do służby w swych szeregach, terorystów, którzy w ten sposób, za pieniądze rządowe, zyskują możność organizowania zamachów. Za owe zamachy „ochrana" otrzymuje wynagrodzenie, i to błędne koło nigdy nie ustaje, bez końca unosząc istnienia ludzkie, i grozą napełniając cały kraj.

Powołana do życia w nadziei, — w nadziei niedorzecznej, — iż pomoże rządowi w zwalczaniu fermentu rewolucyjnego, polityczna inkwizycja w Rosji stała się rzeczywistą władczynią kraju. Ona ministrów przeraża widmami zaburzeń i powstań, wybuchami, których połowa zrządzona została przez nią samą, pobudzając biurokrację do stosowania ostrych środków względem własnego społeczeństwa. Pozyskaną zaś przez siebie władzę, sprzedaje ona w następstwie rewolucji, wzamian za możność zdobycia „materjałów" dla swych zabiegów; pozwala przytym otwarcie terorystom korzystać ze swych usług dla osłonięcia przygotowań terorystycznych. Liczy ona dni życia spokojnych obywateli, których czelnie oskarża o przestępstwa, których sama jest winna; ona, wreszcie, wylicza dni życia ministrom, do takiej chwili, lub do innej, jak spodoba się jakiejś tam Kulabce, a potym nsuwa ich przez zamachy; i za to wszystko bierze pieniądze, dziesiątki miljonów rubli, otrzymuje ordery, awanse i zaszczytne stopnie.

Bez dochodzenia i sądu wysyła na roboty ciężkie tysiące ludzi, i, ciskając „podejrzenie" na całą Rosję powołuje rząd do drakońskich działań względem kraju; ona pokrywa kraj lasem szubienic, a potym skłania terorystów do reagowania na to krwawymi zbrodniami, uzbraja ich przeciwko rządowi, pomaga w przygotowania zabójstw i w ich wykonaniu, w rezultacie zaś — powstają szeregi ofiar, skazanych na szubienicę, katorgę lub rozstrzelanie. I ten wir zabójstw, to tworzenie „ofiar" z obojej strony, zowie się, — oto szczyt patosu ironji, drwin ze zdrowego rozsądku, — zowie się „ochroną".

— „Mnie zamorduje ochrana". To on, Stołypin, władny, najpotężniejszy człowiek w całym kraju, od którego woli zależało niemal wszystko w Rosji, otóż to on, tak pokornie, jakby poddany jakiejś tajemnej sile, mówił: „Mnie zamorduje ochrana".

*Summum jus — summa injuria*, czyni uwagę autor artykułu i pyta: wobec niebezpieczeństwa na jakie narażony był Stołypin, czym jest reszta obywateli kraju, zwykli ludzie, czym jest ich życie, jaka może być wartość tego życia, skoro życie najpotężniejszego ministra tak mało było cenione? Czym są nasze śmieszne „prawa", wszelkie rękojmie „nietykalności" w obliczu tych złowrogich podziemnych bóstw, Rosją obecnie rządzących?

Jako ilustrację owych rządów, p. Ardow przytacza zdarzenie, jakie przed tygodniem zaszło w Woronežu. „Ochrana" tego miasta napełniła taką trwogą władze miejscowe, że te zlękły się nawet... zdechłego psa. Pewnemu gospodarzowi zdechł pies, postanowił go więc zakopać w ogrodzie. Niestety zdarzyła się właśnie jasna noc księżycowa. Ktoś z wolontarjuszów „ochrany" spostrzegł ów pogrzebowy obrzęd i natychmiast pobiegł alarmować władzę: — „bomby zakopują". O świcie ogród został otoczony; policja pod grozą karabinów zmusiła „złoczyńcę" do rozkopania dołu — i ujrzała martwego psa.

I tak dzieje się codzień! Codzień ponawia się ta zapalczywa pogoń za martwymi psami.

Nie! nie! — woła w końcu autor, — dość tego! Jaknajrychlej uprzątnąć należy całą tę ohydę, usunąć precz, utopić jeśli się da w Newie, albo gdziebądź, byle nazawsze! rozpędzić tę armję nieudolnych Judaszów i te-

rorystów na państwowym zostających żołdzie, tych urzędujących szantażystów, napiętnować ich i rozegnać i zapomnieć o nich, aby nadal w polityce śladu po nich nie pozostało".

# KRONIKA.

ZWIĄZEK SPÓŁEK ZAROBKOWYCH I GOSPODARCZYCH. Rok ubiegły (1910) co do pracy wewnętrznej stanowi znów krok naprzód w natężonym i wydajnym pochodzie tej wielce pożytecznej organizacji gospodarczej W. K. Poznańskiego i Prus Zachodnich.

By o tym się przekonać, dość spojrzeć na ostatnie dwie strony sprawozdania, gdzie — jak zwykle — mamy liczbowe zestawienie od r. 1873-go do r. 1910. Zestawienie to wykazuje przyrost pod każdym względem. Liczba spółek wzrosła w ciągu roku z 248 na 256 (+17); liczba członków z 116,849 na 125,105 (+8,259); suma udziałów wykazuje plus, wynoszące 1,876,434,99 mk. na 23,786,266,62 mk.; wzmogła się suma złożonych oszczędności z 117,393,297,25 mk. na 204,612,828,31 mk. (+ 27,279,531,36 mk.), kapitały własne spółek (fundusze rezerwowe) wzrosły z 10,892,145,19 marek na 12,318,906,07 mk. (+ 1,416,760,97 mk.); pożyczek wekslowych wreszcie spółki udzieliły o mk. 30,614,009,75 więcej, niż w roku poprzednim (w r. 1909 177,413,642,56 marek; w r. 1910 208,027,652,3).

Przytoczone cyfry świadczą najlepiej o stałym rozwoju Związku spółek.

W sprawozdaniu ogólnem pomieszczono także 25 sprawozdanie Banku Związku spółek. Ogólny obrót Banku podniósł się w porównaniu do roku 1909-go z mk. 606,066,088 23 fen. na 637,682,664 mk. 58 fen. Bilans wykazuje w aktyw. i pasyw. sumę 45,537,316,85 marek. Z sumy tej przypada na kapitał zakładowy 6 miljonów marek, na fundusze rezerwowe i specjalne 1,947,875 mk., na depozyty 32,862,840 mk., na pożyczki wekslowe, rachunki bieżące i hipoteczne 32,963,509 mk.

KRZEWIENIE OŚWIATY W ŁODZI. Łódzkie Towarzystwo Krzewienia Oświaty, istniejące już rok 6-ty, wydało swe sprawozdanie za r. 1910-ty.

Wedle niego w pierwszych miesiącach istnienia towarzystwa były tylko czynne szkoły dla analfabetów. Odczyty rozpoczęto organizować dopiero w październiku 1906 r. po zalegalizowaniu towarzystwa, a wypożyczalnie książek zostały otwarte dopiero w r. 1907. Analfabetów od grudnia 1905 do października 1907 t. j. do chwili zamknięcia kursów przez generała Kaznakowa uczono 1,500 w 34 grupach. Ogólna ilość sluchaczo-godzin wynosiła około 2 miljonów. Oprócz tego w tym samym czasie 960 słuchaczów w 25 grupach uczyło się języka polskiego, algebry, geometrji, fizyki i t p. Odczytów wygłoszono 543 wobec 68,000 słuchaczów. Książek polskich wydano 235,597 tomów, żargonowych (w latach 1908 i 1909 Towarzystwo wydało nakładem własnym wypisy dla dorosłych czytelników, przyjęte z uznaniem przez krytykę. Urządzono koncerty popularne, a w r. 1908 wystawę obrazów, dostępną dla szerokich mas.

RUCH WYDAWNICZY W PAŃSTWIE ROSYJSKIM. W I-ym ćwierćroczu r. 1911-ego wydali Rosjanie 5,868 druków (wydań książkowych) Polacy 504, Niemcy 227, Żydzi (w żargonie i hebrajczyźnie) 178, Łotysze 139, a Ukraina i Tatarzy po 109, Estończycy 105, Ormianie 91, Gruzini 15, arabskich druków 22, francuskich 21, litewskich 16, czuwaskich 9, kirgiskich 7, tyreckich 5, po 3-y druki białoruskie, greckie i angielskie, a nakoniec Czeremisi wydali 2-a druki.

RUCH ROBOTNICZY W SERBJI. W lipcu r. b. odbyły się zjazdy serbskiej s. d. : związków zawodowych. Sprawozdanie wykazuje niezwykły rozwój ruchu robotniczego w Serbji: w r. 1903 partja liczyła 150 czł.; w roku 1910 już 2,889 w miastach i 2,289 na wsi. czyli razem 5,178. Ruch zawodowy rozwija się również nader szybko, zwiększył w ostatnim roku liczbę członków o 95 proc. i liczy dziś 10,000 czł. Działalność partji wyraża się jak następuje: w r. ub. urządziła one 537 zgromadzeń ludowych, 294 wykł., 906 zgromadzeń poufnych: Partja posiada dziennik, tygodnik, naukowy dwutygodnik, pismo organizacji kobiecych i młodzieży, dwa tygodniki zawodowe; prócz tego 7 szkół partyjnych i Dom Robotniczy. w Belgradzie.

# OFIARY.

*Na wpisy dla biednych uczniów* od następujących pracowników T-wa Nikopol Marjupolskiego w Sartanie:

H. Kolberg rb. 10, L. Wasilewski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, F. Jabłkowski rb. 10, S. Prauss rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Kleinsznek rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb 2, J. Tomaszewski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, J. Rayski rb. 1, S. Krotkiewski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, R. Świetłoński kop 50, W. Popiel kop. 50. Ogółem rb. 59 kop. 50.

# Książki nadesłane do Redakcji:

**Herbert Sand**: „Współczesny dramat polski". Książnica naukowa i artystyczna. Kraków-Warszawa. Cena rb. 1

**Ludwik Stanisław Liciński**: „Halucynacje". Kraków, 1911. Cena rb. 1 kop. 25.

**Jerzy Waldemar Jarociński**: „Otęcz". Wiersze.

**Józef Baczkowski**: „Wichrzyciel", sztuka w trzech aktach. Poznań, 1910.

**Leopold Staff**: „W cieniu miecza". Poezje. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie. 1911. Str. 190.

**Ewa hr. Dzieduszycka**: „Wygnani z raju". Szkic powieściowy. Nakładem Albina Stauda chera w Stanisławowie. Str. 155.

**Alexy Kurcjusz**: „Studja socjologiczne". Wydanie drugie, poprawione, rozszerzone, po mnożone. Warszawa, 1911. Str. 228. Skład główny w „Księgarni Powszechnej".

**Bolesław Wędrychowski**: „Spadkobiercy". Komedja w trzech aktach. Kraków. 1911. Nakładem autora. Str. 34.

**Stanisław Kutrzeba**: „Historja ustroju Polski w zarysie". Wydanie trzecie, ósmy tysiąc. Lwów, 1912. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa: E. Wende i S-ka. Str. 288.

**Jan Kucharzewski**: „Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi oraz na Emigracji". Warszawa 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 121. Cena rb. 1 kop. 20.

**Erazm Majewski**: „Nauka o Cywilizacji: Prolegomena do Socjologji i antropozofji". Wydanie drugie, przejrzane przez autora. Warszawa, 1912. Nakładem księgarni E. Wendego i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł) str. 276.

# OGŁOSZENIA.




**Prenumerata „Prawdy"** wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb **10**.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

**Administracja otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.





Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.